OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.



Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE.

Rok XIX. WARSZAWA. Dnia 23 lutego 1924 r. № 8.

Cena niniejszego numeru Mk. 1.800.000.

ŚWIAT

Rok XIX. № 8 z dnia 23 lutego 1924 r.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.

Zimowy sezon polowań zamknięty. Naszym nemrodom poświęcamy dzisiejszy zeszyt „Świata", na który — dzięki inicjatywie i zabiegom utalentowanego poety, redaktora „Przeglądu Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego", p. Juljana Ejsmonda, — złożyły się prace najwybitniejszych naszych myśliwych.

Prawodawstwo myśliwskie. Administracja łowiecka.

Stosunek rządu i społeczeństwa do zagadnień myśliwskich.

Niepodległa Polska, powstała z trzech dawnych zaborów, nie ma dotychczas własnych praw, a rządzi się kodeksami państw zaborczych.

Ogólny ten stan odbija się też i na ustawach łowieckich, obowiązujących do dziś dnia na ziemiach polskich.

Zarówno organy państwowe, t. j. powołane do tej sprawy Ministerstwo Rolnictwa, jak i organizacje społeczne, np. Warszawskie Tow. Łowieckie, opracowują już od paru lat projekty do nowej ustawy łowieckiej. Praca ta jednak, wymagająca wszechstronnego zbadania obecnego stanu łowiectwa i zastosowania do bardzo różnych warunków kraju naszego, ciężka i zmudna, powinna być nacechowana wyjątkową rozwagą, ostrożnością i bezstronnością.

Tymczasem jednak, zanim nowa ustawa łowiecka ujrzy światło dzienne w formie zdecydowanej, zatwierdzonej przez władze suwerenne, działają na terenie Polski różne ustawy, wyłonione ongiś przez prawodawstwo zaborców.

A więc w województwach centralnych, składających się na dawne Król. Kongresowe i ziemię białostocką, ma moc prawną Rosyjska Ustawa Gosp. Wiejskiego §§ 358—418, z tą zmianą, że przepisy ochronne są obecnie zmienione Rozporządzeniem Ministra Rolnictwa i D. P., z d. 15/VII 1920 r.

Reszta województw wschodnich, tworzących dawny zabór rosyjski, podlega tejże Ros. Ustawie Gosp. Wiejskiego, ale §§ 321 — 357 wraz ze zmianami, zarządzonemi przez Gen. Komisarza Ziem Wschodnich (Dziennik Urz. Z. C. Z. Wsch. № 20/64 r. 1920).

Pomorze, Poznańskie i Górny Śląsk mają Ustawę Pruską z d. 15/VII 1907 r., cała Małopolska — Ustawę Austrjacką z 13/VIII 1909, a Śląsk Cieszyński specjalne zarządzenia, zawarte w „Gesetz und Verordnungsblatt fur Herzogstum Ober—und Niederschlesien" z r. 1903 № 42 i 61.

Tak więc na ziemiach polskich ma moc prawną pięć różnych ustaw, co oczywiście odbija się fatalnie na stanie łowiectwa, wytwarza pewien chaos i uniemożliwia jednolitość nowych zarządzeń i proponowanych zmian.

Łowiectwo polskie powojenne najwięcej cierpi z powodu rozpanoszenia się kłusownictwa, z którem walka była dotychczas nad wyraz trudna. Obecne przepisy o waloryzacji umożliwiają nakładanie większych kar za kłusownictwo, zarówno strzeleckie, jak i wnykarskie, kar takich, aby ten proceder był przy-

najmniej ryzykowny, jeżeli nie niebezpieczny dla amatorów zakazanego owocu, podczas gdy dotychczas nie przedstawiał on żadnego ryzyka, gdyż przy stałej dewaluacji monetarnej największa kara nałożona rok temu (a tyle często trwał proces) traciła całą swą wartość i wywoływała tylko ironiczny uśmiech na twarzy skazanego.

Wielkiem utrudnieniem w tej walce z kłusownictwem tajnem w formie skrytych rabusiów zwierzyny, i jawnem w formie rozbójniczego niszczenia wszystkiego, co żyje, na terenach włościańskich, miejskich i gminnych przez współwłaścicieli i uprawnionych przez nich znajomych nemrodów z Bożej łaski jest pewien podział pełnomocnictw, związanych z opieką nad łowiectwem.

Właściwy bowiem urząd łowiecki posiada jedynie Ministerstwo Rolnictwa przy Departamencie Leśnym, jednak wydawanie pozwoleń na broń i polowanie uskuteczniane jest nie przez ten urząd ale przez Komisarjaty Rządu i Starostwa, czyli władze podległe Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, nie mające nic wspólnego z opieką nad łowiectwem i bardzo często patrzące przez palce na wołające o pomstę przekroczenia praw łowieckich.

Tym sposobem zdarza się nieraz, że w miejscowości, gdzie wskazaną byłaby jaknajskuteczniejsza walka z kłusownictwem i pilna ochrona zwierzyny, miejscowe władze administracyjne wydają pozwolenia na broń i polowanie wszystkim, kto tego zapragnie, bez żadnego ograniczenia, co uniemożliwia wspomnianemu urzędowi łowieckiemu wszelką działalność w kierunku racjonalnej ochrony.

Trzecią władzą, mającą dotychczas głos w tej sprawie, jest sądownictwo i to szczególnie w niższych swych formach — sędziowie pokoju i powiatowi, od których zależy wielkość nakładanej za przestępstwo kary. Tu widzimy ogromną niewspółmierność, zależną od tego, czy sędzia jest sam myśliwym czy nie. Faktem wielokrotnie stwierdzonym jest, że tam, gdzie sędzia jest myśliwym kłusownictwo jako rzemiosło miało mniejsze o wiele szanse powodzenia, niż tam, gdzie sprawa łowiecka była dla sędziego obojętną. Nie potrzebuję tu dowodzić niedopuszczalności takiego stanu rzeczy. Nakładanie kar administracyjnych z góry przez kodeks przewidzianych mogłoby usunąć tę anormalność.

Rząd polski małą dotychczas wagę przywiązuje do znaczenia łowiectwa dla kraju, czego dowodem są właśnie wspomniane wyżej rozbieżności, a także minimalne upełnomocnienia dla urzędu łowieckiego i wązkie ramy organizacji tego urzędu, składającego się dotychczas z jednego referenta na całą Polskę.

Miejmy nadzieję, że zarówno władze ustawodawcze, jak i Rząd zrozumieją poważne znaczenie ekonomiczne, jakie ma dla kraju dobrze postawione racjonalne łowiectwo i stworzą z czasem odpowiednie urzędy, zaopatrzone w szerokie pełnomocnictwa, posiadające władzę wykonawczą.

Również społeczeństwo polskie mało się dotychczas interesuje sprawą łowiectwa. Nie mówię tu oczywiście o samych myśliwych, wśród których przeciwnie z radością zauważyć można coraz większy ruch organizacyjny, wzrastającą pochopność do zrzeszania się, tworzenia towarzystw i kół, i to nietylko wśród inteligencji miejskiej, ale wśród obywatelstwa i ludu. Mówię o ogóle, nie mającym nic wspólnego z myśliwstwem. Tam, niestety, często spotykamy dotychczas przekonanie, że myśliwstwo jest tylko zabawą uprzywilejowanych i możnych, rozrywką krwiożerczą, zabytkiem średniowiecza i pańszczyzny. Ludzie ci, bardzo w niektórych sferach liczni, wrogo odnoszą się do rozwoju prawidłowego łowiectwa, a będąc niekiedy u władzy, w najlepszym razie zachowują się biernie. Bardzo też wielu mamy obojętnych, należą oni przeważnie do kasty ludzi, niewidzących dalej niż koniec swego nosa, i nieinteresujących się niczem poza swym brzuchem i kieszenią.

Zadaniem prawdziwych myśliwych jest budzić takich obojętnych, przekonywać i nawracać usposobionych wrogo. Do jednych trafić można drogą rozumowania finansowego o korzyściach ekonomicznych dla kraju, a więc i poszczególnych obywateli, do drugich przez poezję myśliwstwa, jeszcze do innych przez jego znaczenie wychowawcze, jego moc granitową, stwarzającą tężyznę narodu.

Zadaniem również prasy i literatury myśliwskiej jest uświadamianie ogółu w zakresie myśliwstwa i korzyści moralno-fizycznych, jakie ono ludziom przynosi. Dlatego chwalebnem jest budzenie w młodzieży wszędy obecnego prastarego instynktu łowieckiego i kierowanie go na szeroki szlak wiedzy i etyki myśliwskiej prowadzący do umiłowania wszystkiego, co żyje, ukochania świata całego i zdobycia podstaw nieśmiertelnego szczęścia.

Włodzimierz Korsak.



KSIĄŻĘ WALJI NA POLOWANIU PAR FORCE.

SANACJA POLSKIEGO ŁOWIECTWA.

(Wywiad z przedstawicielami Rządu i Sejmu).

Wywiad z p. Ministrem Janickim.

Chcąc poinformować się o poglądach Rządu na sprawy sanacji naszych stosunków łowieckich, zwróciłem się przedewszystkiem do p. Janickiego, Min. Rolnictwa i Dóbr Państw., a nast. do p. Włodzimierza Korsaka, kierownika referatu Łowieckiego w Min. Rolnictwa.

P. Minister Janicki oświadcza, iż nad zagadnieniem łowiectwa nie zastanawiał się jeszcze i chociaż



P. Stanisław Janicki, minister rolnictwa i dóbr państwowych.

sam jest myśliwym, uważa, że obecnie Rząd ma do załatwienia wiele rzeczy ważniejszych.

Na zapytanie, czy p. Minister uważa za możliwe przeprowadzenie obecnie ustawy łowieckiej, p. Minister odpowiada przecząco. Sanacja skarbu jest rzeczą pierwszą. Ustawy łowieckiej nie dałoby się teraz przeprowadzić przez Sejm.

Jak się okazuje z wywiadów przeprowadzonych następnie przezemnie śród posłów sejmowych wszystkich stronnictw—pogląd p. Ministra na tę sprawę jest zbyt pesymistyczny. Posłowie rozumieją bowiem, iż jednym z czynników ogólnej sanacji gospodarczej jest sanacja stosunków łowieckich.

— W jakiż sposób można zatem przed pojawieniem się ustawy zwalczać szalejące kłusownictwo?— zapytuję p. Ministra.

— Ażeby złu zaradzić — odpowiada Min. Janicki—konieczną jest sprawność władz administracyjnych, współudział Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, a zwlaszcza policji, która nie zawsze stoi pod tym względem na wysokości zadania. Policja nie może dawać złego przykładu.

— Czy Ministerstwo Rolnictwa zamierza w jakiś sposób popierać hodowców zwierzyny i psów myśliwskich?

— Zamierza, ale w danej chwili nie jest w stanie.

— Czy nie możnaby przy sprowadzaniu zwierzyny wyjednać jakichś ulg kolejowych?

— Nie można na to liczyć, gdyż odmawiano ich w sprawach ważniejszych.

— A ulgi podatkowe dla hodowców psów myśliwskich?

—Również są trudne do uzyskania.

— Możeby można zachęcać hodowców zapomocą odznaczeń honorowych, dyplomów?

— Hodowców, jak również prasę łowiecką i dzieła myśliwskie możnaby nagradzać dyplomami tylko przy sposobności wystaw i konkursów.

— Możeby Rząd mógł pomagać przynajmniej racjonalnym Towarzystwom Myśliwskim, zajmującym się hodowlą zwierzyny przez wydzierżawianie im terenów państwowych po cenach zniżonych?

— Uważam to za możliwe. Mojem zdaniem jednak, naprzód musi być las, a potem zwierzyna.

W dniu 18 bm. Rada Ministrów uchwaliła ustawę, zezwalającą P. Ministrowi Rolnictwa na zmianę terminów ochronnych zwierzyny. Jest to ważny krok na drodze do ujednostajnienia przepisów myśliwskich w Polsce i do przeprowadzenia całkowitej ustawy łowieckiej, na którą ogół myśliwski czeka z upragnieniem.

Wywiad z p. Włodzimierzem Korsakiem, kierownikiem referatu łowieckiego.

Referent łowiectwa w Min. Rolnictwa pełen jest jaknajlepszych nadziei na przyszłość. Rozumie przytem świetnie, czem może być dla kraju racjonalna gospodarka myśliwska.

— Ekonomiczne znaczenie łowiectwa — mówi p. Korsak — jest olbrzymie. Mówią o tem dane statystyczne, dotyczące dochodów ze zwierzyny dla państwa (rządu i społeczeństwa) w przedwojennych Niemczech, gdzie dochody te sięgały rocznie miljardów mk. złotych. Myśliwstwo nie jest więc tylko rozrywką panów, jak o tem błędnie sądzi wielu, lecz poważnym czynnikiem ekonomicznym Kraju.

— Czy uważa Pan za możliwe przeprowadzenie obecnie przez Sejm ustawy łowieckiej?

— Bezwarunkowo tak. W każdej partji śród najwybitniejszych posłów mamy zapalonych myśliwych. Rozumieją oni dobrze znaczenie łowiectwa. Umiejętne przedstawienie kwestji na plenum Sejmu mogłoby



Włodzimierz Korsak, autor „Roku Myśliwego".

z odpowiedniej strony oświetlić sprawę i ułatwić jej przychylne przyjęcie.

— W jaki sposób możnaby przeprowadzić sanację stosunków łowieckich do czasu zatwierdzenia ustawy?

— Do czasu przejścia Ustawy wystarczy to, co jest, byleby było dobrze wypełniane. Konieczną jest ścisła współpraca Ministerstwa Spraw Wewn. i Sądownictwa, oparta na prawie o waloryzacji (kary waloryzowane). Sprawa ta została już wniesiona do Sejmu. Pozatem Sejm musi upełnomocnić Ministerstwo Rolnictwa do zmiany terminów ochronnych.

— Czy Ministerstwo Rolnictwa zamierza przyjść z pomocą hodowcom-myśliwym?

—Powinno przez wyjednanie ulg kolejowych, zmniejszenie cła od transportu żywej zwierzyny, wreszcie przez nadawanie premji za hodowlę zwierzyny, choćby w formie dyplomów na medale.

Ministerstwo zamierza ułatwiać w granicach możliwości sprowadzenie zwierzyny łownej. Możnaby wy-

dawać premje w postaci dyplomów za hodowlę psów myśliwskich, popierać prasę łowiecką zapomocą dyplomów oraz wyróżniać dzieła myśliwskie o wybitnej wartości.

Z odpowiedzi p. Korsaka widzimy, iż sprawa łowiectwa dobrego ma rzecznika w kierowniku referatu. Ponieważ zaś p. Minister Janicki odesłał nas po szczegóły dotyczące zamierzeń Rządu do p. Korsaka — pewni jesteśmy, iż wyjaśnienia znakomitego pisarza myśliwskiego zgodne są z poglądami p. Ministra.

Czy sprawę da się przeprowadzić przez Sejm w najbliższym czasie, na to pytanie odpowiedzieć nam mogą jedynie wywiady z posłami-myśliwymi, przedstawicielami różnych stronnictw. Decydujący głos w powyższej sprawie mieć będą oczywiście stronnictwa ludowe. Pesymiści bowiem oraz niechętni dla ustawy łowieckiej najczęściej wysuwają argument, że posłowie ludowi nigdy nie zgodzą się na skrępowanie przez jakąkolwiek ustawę swobody łowieckiej chłopów. Pogląd to z gruntu fałszywy. — Stwierdzają to w zupełności wywiady z posłami ludowymi.

Wywiad z p. J. Dębskim, prezesem klubu „Piast”.

Pan Prezes Dębski na zapytanie, czy zdaniem jego ustawę łowiecką możnaby przeprowadzić, odpowiada twierdząco.

— Głęboko przekonany jestem, że ustawę łowiecką możnaby obecnie zatwierdzić przez Sejm. Najwyższy już czas z punktu widzenia myśliwskiego i ekonomicznego, ażeby uregulować tę sprawę. Myśliwstwo nie jest tylko zabawą i przyjemnością, lecz ważnem źródłem dobrobytu narodowego.

— A przed zatwierdzeniem ustawy, w jaki sposób, według pana prezesa, możnaby zaradzić złu?

— Sprawiedliwe kary administracyjne, danie rządowi pewnych pełnomocnictw, ażeby mógł wydać tymczasowe przepisy łowieckie—oto pierwsze kroki na drodze ku sanacji stosunków łowieckich.

— Czy Rząd powinien popierać hodowców-myśliwych?

— Oczywiście. Pomoc taka jest niezbędną. W służbę leśną trzeba wszczepić zamiłowanie ochrony zwierząt łownych. To samo dotyczy policji. Władze bezpieczeństwa powinny zwrócić baczną uwagę na walkę z kłusownictwem. Również i czynniki samorządowe (sejmiki i rady gminne). Należałoby zwolnić od podatku hodowców psów myśliwskich. Dałoby się to przeprowadzić przez Sejm. Cła od importu żywej zwierzyny powinny być zniesione.

— Czy pan prezes jest za jakiemikolwiek ograniczeniami prawa polowań?

— Ilość polujących musi być ustosunkowana do zwierzostanu. Jestem demokratą. I chłopi powinni mieć możność polowania, lecz—muszą polować racjonalnie.

— Czy jest pan za jednostajnem prawem łowieckiem dla całej Polski?

— Prawo powinno być jedno— ale nie ujednostajnione. Inną jest psychologja i stan umysłowy na kresach naszych wschodnich i na kresach zachodnich.

Następnie p. Dębski wypowiada szereg trafnych uwag, dotyczących ustawy łowieckiej. Poglądy myśliwskie p. Dębskiego są nawskroś nowoczesne. Potępia bezwzględny podział zwierząt na szkodliwe i pożyteczne. Z punktu widzenia przyrodniczego i myśliwskiego wszystkie stworzenia mają rację bytu.

Wypowiadam zdanie, iż Prezes Dębski, mając tak światłe poglądy łowieckie, powinien wnieść ustawę myśliwską do Sejmu i przyczynić się do jej przeprowadzenia.

— „Byłbym dumny, gdyby mnie spotkał ten zaszczyt” — odpowiada p. Dębski.

Wywiad z p. Niedzielskim, posłem z klubu „Wyzwolenia”.

Poseł Niedzielski również jest zdania, iż ustawę da się przeprowadzić i kłusownictwo poskromić. Należy jednak rozstrzygnąć przedtem sprawę szkód, wyrządzanych przez jelenie i dziki. Te ostatnie ryją kartofliska i zasiewy po kartofliskach. Należy racjonalniej postawić kwestję odszkodowań. Moc bowiem z tego powodu napływa zażaleń do Sejmu.

— Jaki byłby stosunek „Wyzwolenia” do obostrzenia kar administracyjnych?

— Klub głosować będzie przeciwko wzmocnieniu władz administracyjnych i obawy nadużyć, których liczne przytoczyć by można przykłady. Starosta daje jednemu z włościan 10 dni aresztu za znalezienie popsutej dubeltówki — ze względów politycznych. Ażeby uniknąć nadużyć — należy ściśle określić kary administracyjne.

Kary za kłusownictwo powinny być pieniężne i stanowić nagrodę dla gajowych za ochronę zwierzyny oraz odszkodowania dla chłopów za szkody przez zwierzynę uczynione.

— Jak Rząd mógłby popierać prawidłowe łowiectwo?

— Możnaby założyć fermę hodowli psów myśliwskich na terenie uzyskanym od Ministerstwa Reform Rolnych. Konieczne są ułatwienia podatków dla hodowców i zniesienie cła od importu żywej zwierzyny.

— Jakie Klub p. posła zająć zamierza stanowisko w stosunku do 40 tys. złp. przeznaczonych na polowania reprezentacyjne? Projekt ten wpłynął podobno do Sejmu.

— Wyzwolenie zajmie wobec tego stanowisko nieprzychylne. 40 tys. złp. możnaby zużytkować na poparcie prawidłowego łowiectwa o wiele użyteczniej.

Ze słusznem tem zdaniem posła Niedzielskiego zgadza się każdy, komu droga jest sanacja naszego łowiectwa.

Wywiad z p. posłem Łuszczewskim z klubu Chrześcijańsko-Narodowego.

Mam wrażenie, że ustawa łowiecka najgorętszych mieć będzie obrońców w klubie Chrześcijańsko-Narodowym. Przekonania tego nabieram odrazu po pierwszych uprzejmych wyjaśnieniach, jakich mi udziela na moje zapytania p. poseł Łuszczewski.

Dowiaduję się od niego, że na ostatniej Komisji Rolnej sprawy łowieckie zostały powierzone posłowi Manterysowi ze Zw. Ludowo-Narodowego.

P. Łuszczewski rad jest, że ustawę łowiecką wniesie włościanin. Zmniejszy to może opozycję w Sejmie. Walka bowiem będzie niewątpliwa. Przeciw ustawie wystąpi prawdopodobnie „Piast“, a napewno „Wyzwolenie“. Za ustawą głosować będzie przypuszczalnie Kl. Chrz. N., Ch. D. i Zw. L. Nar.

Wyjaśniam p. posł. Łuszczewskiemu, iż rozmawiałem w tej sprawie z prez. Dębskim i posłem Niedzielskim i mam mocne przekonanie, że dopomogą do przeprowadzenia racjonalnej ustawy.

— „Dużo jest myśliwych śród posłów, — odpowiada na to p. Ł. — Ważne jest oddziałanie prezesa Dębskiego na „Piasta“. Ustawę da się przeprowadzić, ale chodzi o to, jaką ona będzie. Nie powinno zależeć na jej przyspieszeniu. Należy ją dokładnie przestudjować. Wrazie niepomyślnych przewidywań i niemożności przeprowadzenia dobrej ustawy — raczej wstrzymać ją zupełnie.

— A w jaki sposób zwalczać bezprawia łowieckie do czasu przeprowadzenia ustawy?

— Na zasadzie istniejących praw. W ważniejszych nadużyciach najlepiej uciekać się do interpelacji sejmowych.

— Czy Klub pana posła gotów byłby wnosić takie interpelacje?

Najchętniej. Interpelacje takie zawsze osiągają skutek i pociągają za sobą interwencję Ministra. Stronnictwo Chrz. Nar. mają panowie pod tym względem do swej dyspozycji. Chodzi tylko o przedkładanie realnych faktów odrazu w formie interpelacji, gdyż posłowie nie mają czasu na czytanie artykułów w prasie.

— Jaką pomoc, zdaniem p. posła, mógłby zapewnić Rząd hodowcom-myśliwym? Specjalnie interesuje mię zdanie p. posła jako hodowcy.

—Przedewszystkiem przez ochronę zwierzyny, a zwłaszcza sarn i jeleni. Cło od importu żywej zwierzyny możnaby znieść w drodze porozumienia z p. Ministrem Skarbu. Zresztą prasa łowiecka powinna wystąpić pod tym względem z odpowiednią inicjatywą. Rząd mógłby dopomódz hodowcom psów przez zwolnienie od podatków psów myśliwskich, zarejestrowanych w księdze rodowodowej.

Juljan Ejsmond.

Zwierzostan w Polsce po wojnie.

Kresy Wschodnie.

(*Wywiad z p. Stanisławem Lilpopem, prezesem Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego*).

Rajem myśliwego po dziś dzień nazwać można Kresy Wschodnie. Mimo szalejącego kłusownictwa, mimo braku dostatecznej ochrony ze strony rządu, dzięki inicjatywie kilku towarzystw łowieckich na Kresach Wschodnich stosunki myśliwskie pod względem *jakości* zwierzyny przedstawiają się najpomyślniej. Dlatego też przegląd zwierzyny łownej w Polsce rozpoczynamy od wywiadu dotyczącego Kresów Wschodnich.

Po informacje zwróciliśmy się do p. Stan. Lilpopa, prezesa Polskiego Tow. Myśliwskiego, które dziś najchlubniej sprawuje racjonalną gospodarkę łowiecką na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

— Jaki był zwierzostan — zapytujemy—na terenach dzierżawionych obecnie przez Polskie Tow. Myśliwskie w chwili wydzierżawienia ich od rządu?

— Bardzo słaby — odpowiada p. Lilpop. — Jeżeli zaś obecnie jest inaczej, Towarzystwo zawdzięcza to p. Aleksandrowi Lenkiewiczowi, b. starościе pińskiemu, który objął zarząd polowań naszych i zamieszkał w Kąsinowie.



ŁOŚ.

Z dalszej rozmowy dowiadujemy się o tem, iż na terenach Towarzystwa znajdują się ostatnie w Polsce bobry. Pięć ich rodzin zamieszkuje moczary nad rzeczką Żygulanką[1].

— Na terenach Towarzystwa — ciągnie dalej p. Lilpop, zwierzostan poprawia się z każdym rokiem wskutek racjonalnej gospodarki łowieckiej. Łosi pięć lat temu było około 6 sztuk. Dziś sama puszcza Wiadotupicka liczy ich przeszło 20 szt., razem zaś na terenie dzierżawionym przez nas jest ich około 36.

— A jelenie?

— Mamy je w dwóch nadleśnictwach: Różańskiem i Kartuz-Berezk em. W każdem nadleśnictwie kilkanaście sztuk. Ciekawą jest rzeczą, jak się nienawidzą wzajemnie łosie i jelenie i jak unikają swego towarzystwa. Tak jak daniel i sarna, jak szarak i bielak, tak samo nie znosi się jeleń i łoś. W Wiadotupicach mamy królestwo łosi. W Kosowskiej i Różańskiej puszczy, gdzie przebywają jelenie, łoś jest rzadkością. Sarn jest niewiele, z wyjątkiem nadleśnictwa Kossowskiego, gdzie mamy ich około 200 sztuk.

Podstawę polowań jednak stanowią dziki. Znajdują się one w wielkiej ilości wszędzie. Najchętniej na nie poluje kłusownik i największa ich ilość pada jego ofiarą.

Poprawił się również zwierzostan rysi, których otropiono kilkanaście sztuk. Straży leśnej nie wolno do nich strzelać.

Wilków bardzo dużo. Z każdym rokiem więcej.

Z ptactwa łownego niesłychanie rozmnożyły się głuszce. Zwłaszcza w lasach Michalińskich i Wiadotupickich. Strzelać do nich wolno tylko wiosną na toku.

Z cietrzewiami jest gorzej. Wojna wygubiła je i wyniszczyła na 70 tysiącach hektarów Wiadotupickich błot prawie że doszczętnie. W Michalinie stan ich poprawia się obecnie.

— Czemu przypisuje Pan Prezes wyginięcie cietrzewi przy powiększeniu się ilości głuszców?

— Cietrzew zginął z powodu gazów trujących, w czasie wojny. Głuszec odlatywał przed falą gazową, cietrzew zaszywał się w gęstwinie i ginął. Według obliczenia naszego, w nadleśnictwie Wiadotupiec-

[1]) Por. artykul Al. Lenkiewicza „Bobry w obecnej Polsce“ № 3 (27) „Przeglądu Myśliwskiego„ 1924 r.

kim gazy wyniszczyły około 80% cietrzewi.

— Jak rozległe są tereny dzierżawione przez Towarzystwo?

— Puszcza Różańska, Kartuz-Berezka, Kosowska, Wiadotupicka i Michalińska — razem około 184 tysięcy hektarów.

Wielkopolska i Pomorze.

Kulturalne i racjonalne łowiectwo znajduje się dziś na najwyższym poziomie w b. dzielnicy pruskiej. Zwierzostan wraca tam powoli do przedwojennej normy. Dzięki łowieckim upodobaniom wielkich właścicieli ziemskich hodowla i ochrona zwierzyny łownej robi pewne postępy. Z grubej zwierzyny spotykamy jedynie jelenie, dziki i daniele.

W przedwojennych czasach istniały dwa wielkie obszary ich pobytu: północny—między Wronkami, Sierakowem, Obryskiem i Obornikami i południowy — od Mosiny, Babek i Kórnika do Sremu i Dalska. Ku wschodowi—lasy Miłosławskie, a ku południowi Krotoszyńskie, łączące się z lasami Antonina, były siedzibą jeleni i dzików. Obecnie jest ich o wiele mniej.

Daniel hodowany jest we wszystkich większych rewirach leśnych oraz utrzymywany w zwierzyńcach.

Jeżeli stan grubego zwierza w Poznańskiem i na Pomorzu jest dobry — to świetnym jest (w porównaniu do reszty kraju) stan zwierzyny drobnej, która przystosowała się do kultury ziemi i czuje się w nowych stosunkach znakomicie. Sarna trzyma się zwłaszcza licznie w południowych okolicach księstwa. Stan zajęcy jest najlepszy również na południu Poznańskiego. Miejsce ginącej coraz bardziej kuropatwy zastępuje bażant. Cietrzewie spotykają się dość obficie w lasach gościerzyńskich, głuszce są jeszcze na Pomorzu. Przelotne ptactwo znajduje się w b. zaborze pruskim w wielkiej ilości.

Rozpowszechnioną zwierzyną jest dziki królik, stanowiący miejscami poważne niebezpieczeństwo dla rolnika i leśnika.

Rękojmią pomyślnego stanu zwierzyny w Wielkopolsce na przyszłość jest wysoka etyka, która przyświeca tamtejszym myśliwym, i wysoka kultura łowiecka.

Małopolska.

Wojna najbardziej wyniszczyła zwierzostan nasz w Małopolsce, gdzie 6 lat szalała burza. Skutkiem jej było wytępienie zwierzyny w łowiskach i obniżenie etyki myśliwskiej w ogóle polującym. Rozmnożyły się szkodniki i rozmnożyli kłusownicy.



Znakomity myśliwy p. Herman Knothe przy ubitym przez siebie odyńcu.

Rozmaitość zwierza: niedźwiedź, jeleń karpacki, wilk, ryś, żbik, dzik, kozica, głuszec, cietrzew, drop, bażant, słonka i jarząbek — oto główny czar zwierzostanu małopolskiego w porównaniu np. ze zwierzostanem Wielkopolski.

Przed wojną stan łowisk był świetny: tysiące zajęcy, kuropatw i bażantów lub dziesiątki dzików, kozłów i lisów na pokocie były rzeczą zwykłą.

Dziś ginie jeleń i ginie król puszczy niedźwiedź, jak to widzimy z kroniki łowieckiej tegorocznej. Ale powoli jak zwiastunki lepszego jutra nadchodzą z różnych stron Małopolski wieści dobre i pocieszające.



Ze zbiorów p. St. Knothego.

Dzielnica której łowieckie bogactwo podziwiać można w muzeum przyrodniczem im. Dzieduszyckich, a której łowiecka organizacja ma w swoich tradycjach towarzystwo Lisowickie—musi znowu zajaśnieć, jak klejnot łowiecki korony polskiej.

Kongresówka.

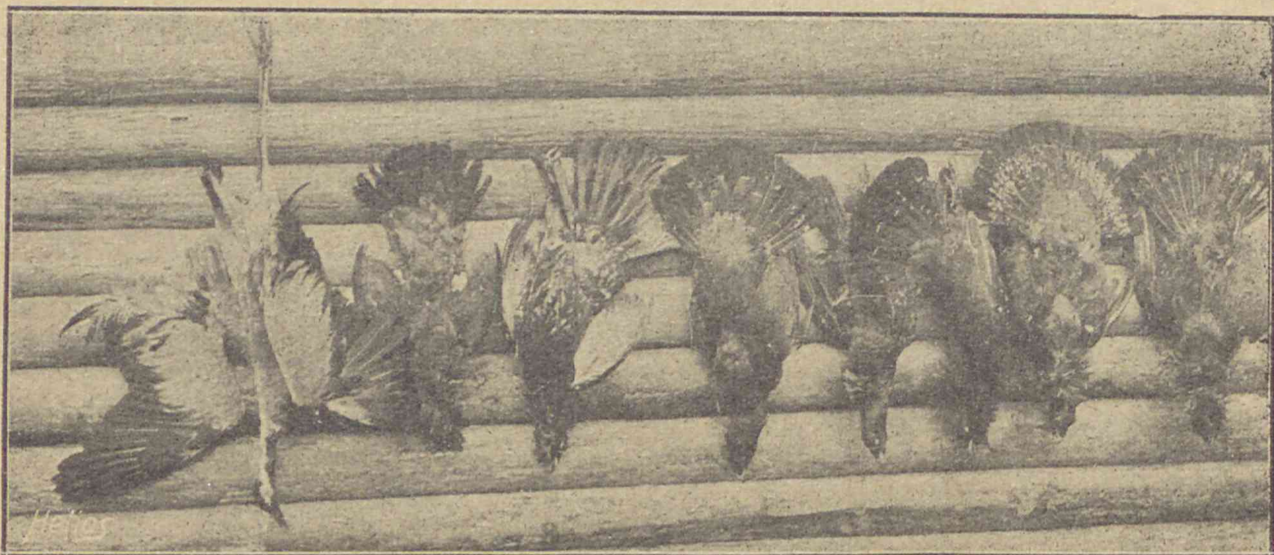
Pod względem prawidłowej gospodarki łowieckiej Kongresówka stoi niżej od Poznańskiego; pod względem rozmaitości zwierzyny łownej—niżej od Kresów Wschodnich i Małopolski wschodniej.

W ostatnim roku zwierzostan poprawił się naogół. Na wschodzie, a zwłaszcza w ziemi Lubelskiej wielka ilość dzików. Stan zajęcy w ziemi Lubelskiej b. dobry, na zachodzie dość dobry. Stan kuropatw poprawił się tam, gdzie chroniono je przed kłusownictwem. Na niedzierżawionych terenach włościańskich wyginęły one całkowicie. Najlepsze wieści o kuropatwach napływają z pasa „kuropatwiego", który od Błonia idzie przez Sochaczew i Łowicz na zachód.

Stan jeleni i sarn naogół niezadawalający, choć w niektórych okolicach, np w Strudze pod Warszawą, sarn dużo.

W nielicznych tylko majątkach prowadzi się racjonalną hodowlę. W porównaniu ze stanem przedwojennym sytuacja przedstawia się miejscami groźnie.

X. Y.



Trofea. Ze zbiorów p. H. Knothego.

TRAGEDJA PUSZCZY.

(*Kartki o Białowieży*).

I.

W leśnej kaplicy ksiądz biskup mszę świętą przed królewską obławą odprawia. Mdłe blaski świeczek woskowych blado żółtą poświatą pełgają po kudłach głów pochylonych, zrzadka na ostrzach rohatyn zawisną, wraz na piersi królewskiej w klejnocie rozbłysły, i dalej niosą się chwiejne i drżące, kędy pas nabijany, połyskliwe spięcie, czy pański guz złoty, w szarej ciżbie służebnej.

Ale, nie w ciszy, lecz w bujnym pogwarze brzmią niepojęte wyrazy księdza biskupa, co właśnie nad gromadą chrześcjan wczorajszych błogosławiące wzniósł ręce.

Bury, pręgowany, dziki, jak jego barwa jagiełłowy tłum osaczników, objezdnych, stanowniczych, psiarzy zakołysał się, westchnął, rozjęknął, jakby wicher zakotłował w kaplicy. Na smyczach zatargały się psy, tęgi parob śmignął nahajem, zaś obok zerwało się nagle rzęsiste przekleństwo i zacichło w półsłowie, twardą garścią zbożnego sąsiada przymknięte na ustach.

I jeszcze chwila; pan miłościwy przerwał pacierze, podniósł się z czerwieni paradnego krzesła na znak, że z Bogiem już ukończył rozmowę i wnet — *Ite missa est* — od ołtarza poniosło się przez nawę, jakby ulgi powiewem.

Szerokim krokiem a raźno ksiądz ruszył z kaplicy. W odrzwiach cisnął ornat i albę na ręce pachołka. Ów podał mu oszczep, futrzaną kapicę, a wilczą skórą tęgie bary obrzucił. I wraz huczna, wrzawliwa, szczękająca żelazem gromada,—kłębowisko faliste rudych, siwych kudłów baranich, opończ, kapturów, psów czarno-płowych i krasych, niosąca górą trzepocące ptaki, na berłach, a nad niemi widlaste oszczepy, rohatyny i włócznie, zwaliła się przez wrota kapliczne, ze skowytem radosnym psich, ludzkich głosów, na leśną polanę, w cichości zamarłą, pod obłokiem mgły sinej późnego doświtu.

Jakby garścią kto cisnął, rozsypały się żwawo biegające cienie: ten do koni, ów z psami, a obławnicy już sprawnie się zwarli ciemnym szeregiem, u drogi.

I już, we dwóch, ze służby królewskiej, wiodą pół powietrzem, pół ziemią, bestję złoto-cisawą, w pańskich szkarłatach—kąśliwego źrebca. Łaskawem okiem krótką chwilę go mierzył pan miłościwy i zaśmiał się rzeźko, ale zaledwie lekką stopą tknął szerokiego strzemienia, zwarł krzepkie golenie i władnem osadzeniem wparł w ziemię dryganta. Wnet na polanie radosny dźwięk rogu się ozwał, w cichą, senną knieję uderzył i rozbił na tysiąc odgłosów.

Ruszyli w zawód na spiętych bodźcami bachmatach, hyżolotni gońce, a każdy niósł rozkaz, obwołanie w puszczę:

— Czuj duch! Pan miłościwy rozpoczyna łowy.

* * *

W ciemnych haszczach leśnego ostępu, pod kłodami zwalonych olch, co nad czarnem legowiskiem zwarły się sklepieniem, ocknął się prawy Białowieży król. W szare mroki wyhynął, podniósł łeb skudlony, grzywiasty, brodaty i wetchnął mocno rzeźwiące chłody wczesnego świtania. Nagle powiódł niespokojnie kosmatemi uszami i zwrócił, skąd biegły zabłąkane dźwięki.

Wparł chrapy w ziemię i dychał, racicami rwał, aż pół łba w nią zasunął i słuchał, co tam spodem głos niesie. Nagle cisnął olbrzymim kadłubem, ogon sprężył obłąkiem i z trzaskiem łamanych gałęzi, rwąc czarne bryły z pod siebie, sadził przez zwały. Chwila, i znów osunęła się cisza na mroczne królewskie osiedle.

Z ciepłej pieleszy, liściami usłanej, dźwignął się leniwie ciemnobrunatny książę puszczy — marucha i powiódł wokoło maleńkiemi oczami. Pod wiatr uniósł łeb opuszczony, pociągnął powietrza i słuchał. Któżby mógł wiedzieć, jaką wieść mu przyniosło, ale snadź nic dobrego, bo się chwilę, już w niepokoju zawahał. Obrócił za wiatrem i ruszył, zrazu truchcikiem, podrygując zadem niezdarnie, ale na jasnej polanie wraz go coś poderwało, rozkołysały się pod nim kołtuniaste żółtawe pośladki i już sunął, jak kula, ozierając bokami.

A tuż, jak dzwoneczek, rozległ się głos. I ustał niepewny i, chwila, a przybrał pośpiechu i mocy. Tuż, drugi, jakby z nim krótko się zmagał i rwał się, kędyś stronami uciekał, — nagle zlewnym jazgotem się zaniósł, jakby radość, i żałość, i ból.

A wnet, całą falą zerwało się granie i przez knieję poniosła, niby trąby i fletnie — muzyka.

Tupnął krasny jeleń, w bór prysnął. Nagle zaparł się w ziemię i szarpnął z powrotem. Znów zwinął na zadzie i w pędzie rozciągnął, gdzie zasiek konarami zjeżony. I przygięły się w skoku kolana i tylko trzask poszedł po lesie, a het, na pagórze biała tarcza rozbłysła, jakby w ziemię zapadła.

A za burym maruchą już cała zgraja gna przez jarugi, rozjuszona, zażarta. Łka, zawodzi, szaleje, żądzą pomsty dysząca, to w znużeniu ucicha, to znów wzbiera rozpaczą, a daleko — daleko strach siada na karki i pędzi oślepły, przerażony stwór Boży.

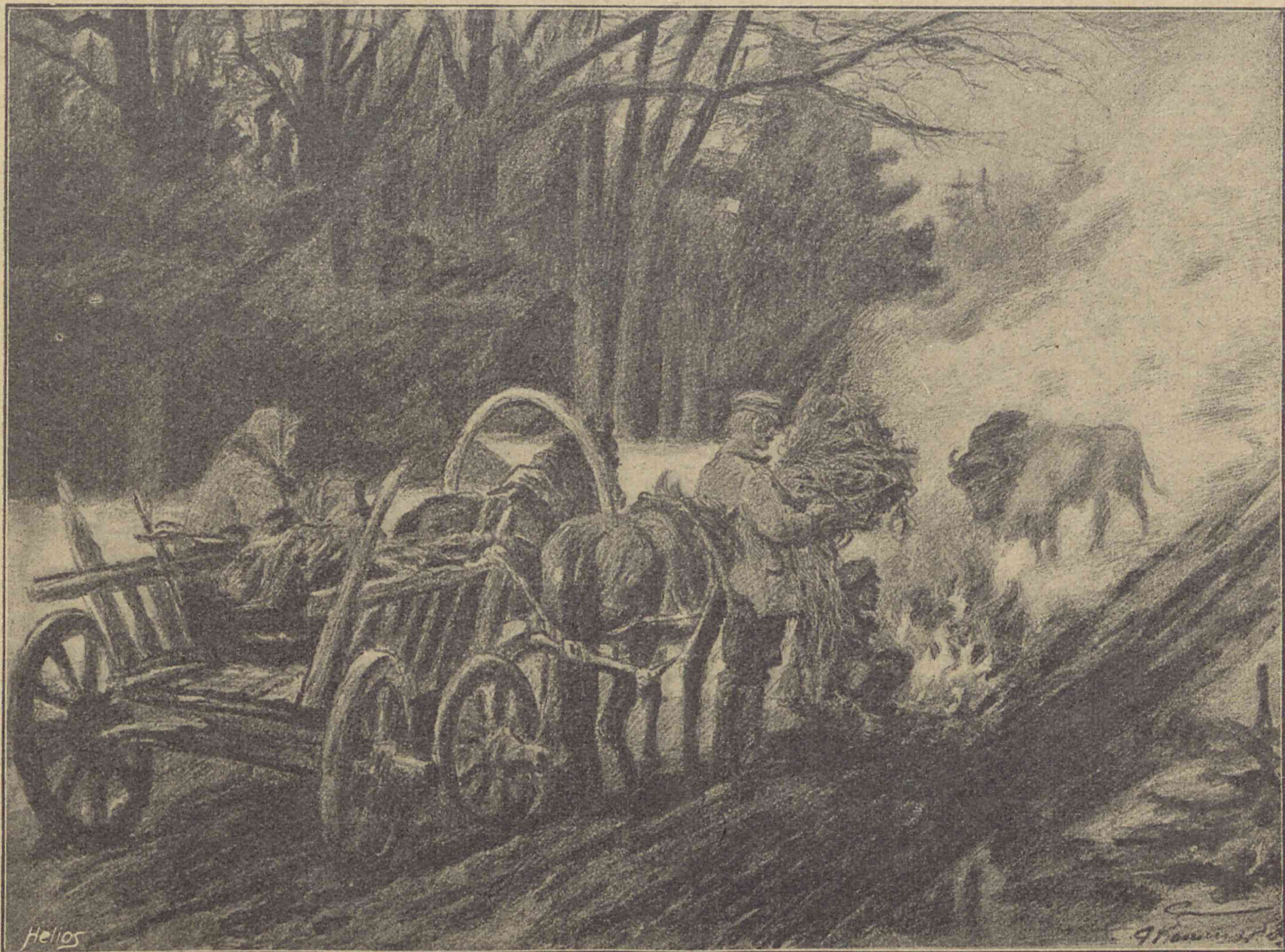
Aż rozżali się puszcza, wielkim głosem rozjęknie, to znów zakołysze w tentencie i zgiełku, a jeszcze chwila, szał pogoni zacichnie i poczną się gody.

Niecierpliwy już pan miota źrebcem po haszczach, sięga wzrokiem w pomrokę; radby serce ucieszył, grotem sięgnął — do serca.

Nagle koniem w skok cisnął — już mu bury nie ujdzie!

* * *

RYSUNEK ANTONIEGO KAMIŃSKIEGO.



Z życia puszczy przed wojną: żubr zawalidroga.

Górną pobudką rozległ się bór. Dumnie, radośnie wzbił się głos rogów i poniósł dalekim polotem przez puszczę:

— Król ubił niedźwiedzia!

Wnet na koniach chrapiących nachyleni jeźdźcy przypadną, kędy na żywej, świetlistej zieleni bury rozpłaszczony trup leży. Ciemną strugą posoka się sączy z pod niego, przez borówki, czernice, przez mchy.

A tuż, człowiek niewielki, a zsiadły, w tułubie spiętym klamrą srebrną, szeroką, w rudych skórzniach juchtowych, na nogach krzepko rozpartych, ledwo co grot obroczony z kłębu cielska wytargnął—sam pan miłościwy.

A tuż, wiankiem, legły psiska ziejące, osłabłe, z zapadłemi bokami. Rudawe gończe, moręgowate zaciekłe pokurcze i płowe „medelany", olbrzymy, z okrwawionemi faflami, od oszczepiska, którem rozwierano, w zawziętem wżarciu zmartwiałe paszcze. Zaś przetrącony łapą niedźwiedzią martwy krzyż włóczy, a dwa kundle-brzechuny zaszyły się w gęstwę i skiełczą żałośnie, snadź także nie bez szkody na zdrowiu.

A tuż i psiarze, chłopy na schwał, z przyciętemi nad czołem grzywami, w spiętych szerokim pasem łosich kaftanach. I radzi łyskają w uśmiechu wilczemi zębami, że to ich, za te psie krzywdy, pańska nagroda nie minie.

A, pobok rozgrzana, dysząca kniaziówna w sobolim kołpaku i strojni, śmiejący dworzanie i pany w łańcuchach, barwistych bławatach i olbrzym chłop kołtuniasty, z trójgrotem, rękodajny pana towarzysz, a dalej znów szara ciżba ciurów stajennych, smrodem skór źle wyprawionych ziejąca, wrzawliwe, zaciekła, wśród rozpalonych gońbą ogierów, sięgających ku sobie zębcami. Zgiełk, skowyt, przekleństwa.

Wnet, jednak cisza. Na królewskie skinienie, człek sprawny z konia się zwinął, do niedźwiedzia przypadł, a gdy odwrócili ludzie cielsko ważne, bezwładne, cisnął kurtę ze siebie, siadł, okracz, na brzuchu i pruł. Zaś, rękawy koszuli zawinął i w kłębach blado-sinych jelit po ramiona ręce zanurzył, serca szukający. Aż znalazł i udarł i bluznęła jucha, mdły, słodki odór parą się wzniósł.

Zakłapały psie pyski u ciepłej odprawy, uśmiechnął się rad pan miłościwy, a wraz zerwała się w tłumie pieśń nagła, jak grom i zlały się w jednej, wszystkiemi mocami bujnego życia tętniącej radości, głosy ciurów i panów, wzbiły w jedynej czci-chwale dla odwagi i siły.

Cicha tylko jasna kniaziówna. Rozgorzała, dysząca bujną, prężną piersią naległa na twarde bary królewskiego dworzana, zapaloną widokiem krwi mękę przeżywa.

Aż ścięły się zęby i luba słabość podchyliła kolana.

Lecz ocknie się nagle z miłośnej tęsknoty, a oczy mgłą przysłonięte zapłoną, bo oto znowu rzeźki dźwięk rogów wionął falą przez knieje i znów łajnia zapaśna z obławą na gon świeży ruszyła.

Król wsłuchał się bacznie w granie, jeszcze dalekie.

— Widno tura podniosły.

Zaczem sprawdził ludzi, co szerokiem koliskiem część jarów zamknęli. Każdy oszczepisko wparł w ziemię, grot widlasty wysunął w pół piersi i zamarł w pień leśny, co pewna, że n'e łatwo usunie się z drogi.

A dworzanie na koniach za niemi, kto z rosochą, kto z włócznią, zaś pan miłościwy wziął lekki koncerzyk, bo lubiał się groźnym zwierzem zabawić.

Alec się zawiódł, bo migiem skłuli, dwulatka. Ledwo z jaru wychynął, już leżał.

Tedy król personalnie szczuł łanię, personalnie ją zgonił, a już pod wieczór psy osadziły srogiego odyńca i padł z jego ręki. Co, wnet otrąbiono wskazanym porządkiem i pociągnęła luźna gromada ze śpiewem, hukaniem, wrzawliwym pogwarem, na krótki wczas nocny, do jutra.

Niejeden, wówczas, pod osłoną ciemności, na łowy miłośne chyłkiem pomykał Nieraz z sercem wzburzonem, przy tkliwem sercu słodką noc przeżył, a drugi — nie wrócił. Snadź popadł w inne objęcia: ojca, czy męża, co jak tur groźny, a mściwy, miał gacha każdego za wilka.

* * *

Było... Dzisiaj puszcza u kresu, żubry wiek swój przeżyły i pono już szczezła dawna dzikość człowiecza. Tylko niezmienna krwi żądza została, ale i ta, bez porywów już chłodna, bez grozy uroku — sobie bezpieczna...

Zygm. Bartkiewicz.

Dalszy ciąg nastąpi.



Po polowaniu w górach Korei. Ze zbiorów p. Józefa Gieysztora (1913 r.).

ARGALI

Obrazek myśliwski z podróży przez Centralną Azję. Rysunek art.-mal. W. Mazurowskiego.

I

Wyprężywszy swe piersi skalne i ramiona, z głazów prastarych, rozrzuciwszy na wszystkie strony świata, piętrzyły się ponure Nań-Szanie. Nad niememi przepaściami wisiały w powietrzu orły górskie i sępy nagoszyje, oczy złociste w dno czarne utkwiwszy.

Tajemnemi głosami mówiły do siebie góry. Były to grzmoty toczących się nadół ławin i skał, co życie swoje na szczytach niedostępnych skończyły i gdzieś tam, w ciemnych czeluściach wązkich dolin, na umieranie były skazane, na konanie powolne i bolesne, w żwir i piachy się zmieniając. Przed zgonem ciskały przekleństwa w coraz dalej odlatujące od nich niebo, przekleństwa krzykiem i hukiem echa stugłosowego, trzaskiem druzgotanych i rozłupywanych na drzazgi żałobnych modrzewi i złocistych sosen.

Wołaniu gór odpowiadały orły i sępy klekotem żałosnym, a kołując wyżej wznosić się zaczynały, jakgdyby ciekawe zmian na pomarszczonej twarzy gór.

Gdy zima nadchodziła, biały całun zarzucała na ostre, zębate szczyty i lodem ścinała ruchome ławiny i skały, odrywające się od wieczystej piersi grzbietu, — wtedy przylatywało na skrzydłach bezszmernych martwe Milczenie o bladej twarzy i szeroko rozwartych źrenicach, pełnych żądzy zgrozy. Siadało, jak widmo majaczące, na śnieżnych werchach i mgławicami toczyło się, pełzało szczelinami urwistemi, gładkiemi spadkami skał niżej i niżej, w doliny i na płaszczyzny, gdzie się czaiło, nieśmiałe i strwożone widokiem dzikich jaków o włochatych bokach i ogonach wspaniałych, krętorogich, grubokarkich argali i skradających się przez zarośla młodzi modrzewiowej białowłosych wilków...

Bladolice, szerokookie Milczenie zazdrośnie kryło w zwojach śnieżnego płaszcza nieme krzyki przedśmiertne, jęki bezwładu rozpaczy i bezdźwięczny zgrzyt od śmierci potężniejszej nienawiści.

Gdy różano-złociste blaski dłużej igrać zaczynały na śnieżnych kurhanach wyżyn, białe widmo rzucało w błękit nieba swe mgławicowe skrzydła i, niby nieuchwytna zjawa, odlatywało tam. skąd jeszcze tchnął mrozem Ocean, gdzie bałwany pienne w góry lodowe stwardniały i niewidzialnemi drogami sunęły, jak straż Północy.

Przychodziła wiosna, wbiegając, jak sarna, na strome zbocza gór, przesadzając przepaście i wąwozy, skacząc od szczytu do szczytu, od łąki, fijołkowej od rododendronów, do brzegów jasnego, jak modre oko, jeziorka w oprawie złocisto-szkarłatnych kwiatów puszystej lilji-pierwiosnka.

Szczyty poczynały rzucać swe niepojęte słowa, wstydliwie obnażając swe starcze ciało; o czemś szemrały rozmarzone modrzewie i sosny; dzwonić zaczynała fala na modrem jeziorze; klekotały głosem odmiennym sępy. Potężne orły czarnem skrzydłem, jakdyby tajemnicą nocy, obejmowały potulne, rozumiejące nieme prawo rodu, nagle rozsłabłe ciała orlic. Wzlatywały wspaniałe i opadały omdlałe mocarne pióra, a w przenikliwe, groźnym klekocie grała nuta namiętna.

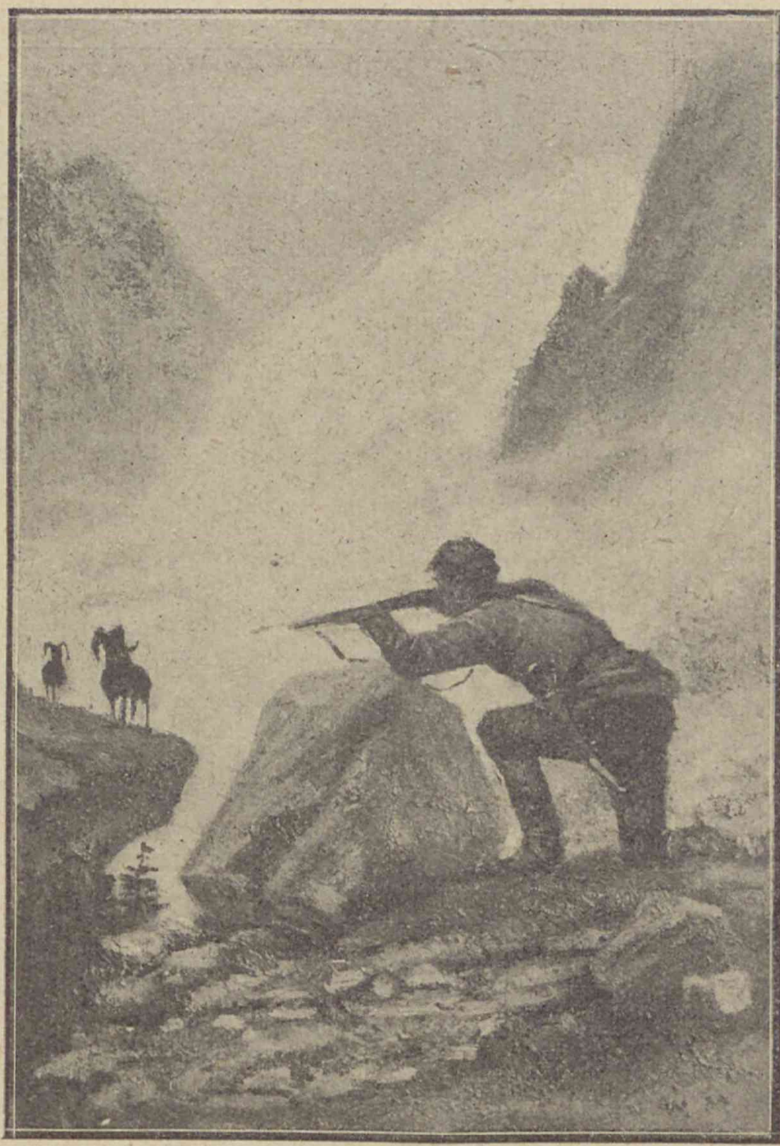
W nizkich krzakach, pączkami i czerwonemi prętami przybranych, wrzała gonitwa miłosna małych ptaszków i dzwoniły krótkie, radosne piosenki. Przed świtem jarami, hasz-

czami i knieją porosłemi, płynął głuchy ryk, tęsknicą, pożądaniem brzemienny, a groźny zarazem. To jeleń—marał wołał namiętnie kochankę nieznaną i groził innemu samcowi, co położył na grzbiet najeżony — ostre widły rogów i sunął ku niej, nieznanej, a pełnej niemego lecz wszechwładnego zewu..

Inne też ryki i głosy mącić zaczęły nieruchomą otchłań ciszy górskiej. Chrapliwe, urwane, przechodzące w łkanie niecierpliwe beczenie rozlegało się z każdej polany, trawą porosłej, z płaszczyzn górskich, gdzie, czepiając się kamieni, wyrastały kępy krzaków, soczystej trawy lub pęki barwnych kwiatów.

Na tych miejscach stały tury argali, wspaniałe barany skalne. Ciemno-szare, niby z granitu rzeźbione, stały czujne, drżące i niecierpliwe. Nie dotykały soczystej trawy, głowy, uwieńczonej kamiennemi fałdowanemi rogami, nie opuszczały do drażniących nozdrza kwiatów i młodych pędów, tylko czekały... tylko wołały z błaganiem i znowu czekały...

Już wiatr donosi słodki zapach piżma... ale tak słaby. tak jeszcze daleki, że argali chrapy rozdyma i ze świstem wciąga powietrze, wierząc i nie wierząc... Uszy łowią jakieś szmery... gdzieś potoczył się kamyk, szczęknął o inny i zamilkł... I znowu szmer... miękki, powolny. Tur powrócił potężny kark, co niósł dużą głowę z rogami, niby skamieniałe wykrzywione konary drzew olbrzymów, lub zwój potwornego węża ze spiżu. Ledwie dostrzedz można, jak poruszają się włochate uszy, chwytając dźwięki godzin przedświtu. Ryknął przeciągle... i urwał. Już wiedział, że zbliża się nieznana, kierowana ku niemu potężną wolą miłości oblubienica. Wydało mu się, że widzi ją: idzie, zatrzymując się, skubiąc trawę i napęczniałe od soków pędy modrzewi, podnosząc płochą głowę i rozglądając się bez przyczyny, jakdyby się namyślała i ociągała... wiedząc i nie wiedząc, że niedostrzegalna, a mocna, jak stal, nitka już się wyprężyła, ciągnąc ją wolną i bezwładną zarazem, ku najwyższemu przeznaczeniu, co wykonane miało być tam, gdzie stał on, wykuty w kamieniu, płomienny, silny i wyprężony, jak przygięty do ziemi młody dąb z Radawan-Tagu.



Polowanie na argali.

2.

Spędziłem ostatnie dni zimy w wązkich i krętych przejściach Nań-Szaniu. Szła za mną czyhająca zewsząd śmierć, a że ujrzała tu w odludziu człowieka, szeptała do mnie martwym szeptem wielkiego Milczenia, co rozpostarło się na śniegach i lodach obcych, surowych gór. Odleciało w moich oczach skrzydlate widmo Milczenia, odleciało na Północ, za nim odeszła śmierć, zwalczona wytrwaniem i Nadzieją.

Pierś moja poczęła wdychać wonne strugi wiosennych powiewów, uszy słyszały szmery drzew i kwiatów, plusk jeziora, dzwonienie strumyków, śpiew i klekot ptactwa.

Gdy noc i świt rozbrzmiewały głosami pożądliwych ptaków i zwierząt, czujących porę godów, uniesień i przeznaczenia, odradzał się we mnie instynkt myśliwca; ręka mocniej ściskała karabin, wzrok, jak strzała, przeszywał przestrzeń i gąszcze.

W dzień nieraz widziałem ciemne postacie argali-turów, pasących się na zielonych trawnikach pochyłych spadków i stromych zboczy gór i znikających, jak zjawy, za głazami i zwaliskami starych moren.

Musiałem przeciąć ten grzbiet, dążąc ku ojczyźnie szlakiem dalekim, zawiłym, nieznanym. Głód dokuczał mnie i towarzyszom mojej szalonej tułaczki. On, głód, ten potężny władca, kierujący od wieków człowiekiem i ludami w ich pędzie nieziemnnym ku wyżynom, gdzie zasiedli oddawna bogowie; on to zmusił mnie wedrzeć się w gody wiosny, dorzucić jeszcze jedną nutę do symfonji odrodzenia.

Dobrze zapamiętałem dużą polanę, gdzie trawa już wybujała i gdzie nie raz migały kształtne ciała argali. Pewnej nocy zaszedłem tam, ukryłem się za odłamem skały tuż—przy krawędzi wąwozu, przecinającego polanę.

Na dole, z dna jaru strzelały do góry czarne wierzchołki modrzewi; naprawo, jak okiem się gnąć, ciągnęły się łańcuchy gór i skryte w mroku, wijące się, jak węże, doliny. Szare tumany przelewały się gdzieś głęboko; majaczyły, odcinając się na nocnem niebie czarną wężową linją. góry; topniejące, opadające białe szaty Tumyn Oła występowały z ciemności. Skądś, niby z głębin ziemi, szły ciepłe, parne tchnienia, od gór, piętrzących się wyżej, — zimne.

Kostnieją ręce, trzymające karabin, dreszcz biegnie po grzbiecie i kryje się głęboko w mózgu. Zaczynają szczękać zęby i kurczowo mrużyć się oczy. Dygoczę cały z zimna, a może ze wzruszenia? Ciągnie się leniwie i uparcie czas przed świtem!

Nagle stał się cud!

Roztopił się szczyt Tumynu i płonąć zaczął najpierw żelazem, rozpalonem na czerwono, po chwili — na biało!

Strugami i kaskadami spływać zaczęła biel ognia na dół, do dolin uśpionych, do lasów nieruchomych. Wynurzały się, jak widma chybkie, mniejsze szczyty, zwały skał, lasy, czeluście głębokich, mrocznych wąwozów...

Tryumfujące, zwycięskie światło słońca zdawało się śpiewać, krzyczeć, dzwonić, a w chaosie tych dźwięków, nieuchwytnych dla ucha, tonęły inne głosy, echa i szmery.

Z dolin unosić się zaczęły falujące płachty siwych i szafirowych mgieł, rozszarpywać się w smugi, kłęby i nici, pełzły wyżej i wyżej, zamieniając na chwilę w nieruchome obłoki, aż je rozto-

piła, pożarła, wchłonęła świetlana powódź promieni i tysiącokrotnych odbić na śnieżnych połyskliwych płaszczyznach Tumyn-Oła.

W tej chwili za wąwozem wyrósł z ziemi czarny cień. Zdawało mi się, że był to kamień, przedtem niedojrzany. Lecz ostry, czujny wzrok łapie, raczej wyczuwa ruch w tym kamieniu. Ręka mocniej ujęła karabin, głowa nieznacznie pochyliła się ku kolbie.

Zamarłem, w skałę wtłoczyłem się, z karabinem, gotowym do strzału. Rozproszyły się gęste smugi mgły. Ujrzałem tura - argali; jego brunatny potężny kark z najeżonym groźnie twardym włosiem; olbrzymie, wygięte rogi z szarego kamienia „bujunguł", jak twierdzą Mongołowie z Chałchi i myśliwski szczep pięknych Ordosów.

Argali postąpił jeszcze kilkanaście kroków i stanął, wyprężony, czujny, wyczekujący. Poruszył olbrzymią głowę i ryknął chrapliwie i przeciągle, wyrzucając z nozdrzy kłęby pary. Obejrzał się, jeszcze raz ryknął i umilkł, zmieniony w kamień nieruchomy. Cicho zadzwonił naciśnięty szneller, a przed prawem okiem pozostał tylko brunatnoszary bok zwierza i na jego tle zimno połyskująca lufa mego karabinu.

Nad garbem polany podniosła się głowa samki, jej ciało szare i mocne rogi. Postępowała krok po kroku, niepewna, wahająca się i radosna zarazem.

Argali tur chrapnął...

Nie zeznawałem, kiedy padł mój strzał, rozdarł ciszę gór, odbił się od skał i huczeć począł, biegnąc dalej i dalej, spadając w doliny bezdenne lub skacząc aż hen! — pod śniegi Tumynu, i wołając trwożnie:

Śmierć!... Śmierć!

Argali nie drgnął nawet. Miękko ugięły się pod nim nogi, i legł, głowę rogatą zwiesiwszy na bok.

Samka znikła, jakgdyby ziemia ją połknęła...

Mknęła w tej chwili, sadząc przez skały i rozpadki w górach wylękniona, niepomna na pełen dziwnego żaru dreszcz, łechcący ją, gdy krok po kroku dążyła, skubiąc trawę soczystą i kwiaty zimne, a wonne, zbliżając się ku turowi, gdy stał nieruchomy i wołał ją rykiem pożądania, słodkiej obietnicy w imię wszechwładnego przeznaczenia istot żyjących, uległych mu w godzinie odlatujących, pierzchliwych mgie szkarłatno-złocistej zorzy poranne

Antoni Ossendowski.

P. Teplitz-Mrozowska w tym roku poluje w Sardynji.



Zachęcona polowaniem w Indjach Wschodnich, rodaczka nasza w bieżącym sezonie spróbowała wrażeń myśliwskich w górzystej Sardynji. Muflona nie udało się jej dostać, ale z dzikami poszło lepiej. Fotografja przedstawia p. Jadwigę Teplitz-Mrozowska z mężem i towarzyszami łowów sardyńskich.

Juljan Ejsmond.

Poseł we wnykach.

(Bajka myśliwska).

W wolnych chwilach od robienia wielkiej polityki
poszedł poseł po podlesiu stawiać nocą wnyki.
Ale że to praktykują też i kłusowniki,
suwerenny biedny poseł złapał się we wnyki.
W suwerennej dłoni dzierżąc pęczek żelaziwa,
suwerennym głosem swoim pomocy przyzywa.

Słyszy głos ten Szarak trwożny. Wolniutko kicając,
już zdaleka się dziwuje: „To mi sielny zając!
Nie widziałem jeszcze nigdy kota tak tłustego!
Nie będziesz się już parkocił, kochany kolego...
Zrobią z ciebie pieczeń, rosół... Skórkę się zachowa...
Nabędzie ją za miljonik mniejszość narodowa".

Przyszła Sarna: „Suwerenie! truchlejesz ze zgrozy?
Jako poseł iść niestety nie mogłeś do kozy;
koza przyszła więc do ciebie. Słuchaj głosu siuty,
którą nieraz bezlitośnie raziły twe śróty..."

Dodał Lis: „Kochany pośle! porzuć próżne smutki,
Ciesz się, żeś stawianej na mnie nie skosztował trutki,
bo gdyby strychniny zjadła tak wielka osoba,
w całym kraju po jej skonie byłaby żałoba.
Poseł jęczy, płacze, kwili i głos wznosi słodki:
„Nie będą was już tępiły bezlitośnie kmiotki.
Skoro tylko znów na Wiejską z powrotem zawitam,
o ustawę się łowiecką natychmiast zapytam".

Na to Lis: „Kto czem wojuje, ten od tego ginie,
Idź ustawę przeprowadzać. Pomnij o zwierzynie.
A jeślibyś w dalszym ciągu był katem zwierzyny,
na drugi raz zamiast wnyków skosztujesz strychniny.
I pomimo twoje wpływy wielce znamienite —
drogi pośle, suwerenną w mig odwalisz kitę".

Z POLOWAŃ W DAWIDGRÓDKU.



Grupa uczestników: x Karol ks. Radziwiłł, xx Izabela ks. Radziwiłłowa.

POLOWANIE W DAWIDGRÓDKU.

(Myśliwstwo ks. Karola Radziwiłła).

Przez lat dwadzieścia rozjeżdżałem po całej Polsce, po Polesiu, Wołyniu, Podolu—za wilkami. Przez dwadzieścia lat wysiadywałem na przeróżnych stanowiskach niezliczonych miotów, zapatrzony w cudowne knieje, puszcze, góry, przełęcze, gąszcza, bagna, sitowia, łozy, haszcze, wypatrywałem, jak żbik, całą mocą swych źrenic, wilków, choćby z daleka pragnąc je zoczyć, jednego choćby, byle utrwalić go w swem pojęciu, wśród natury, na dzikości przyłapać go rzeczywistym, prawdziwym, w kształcie, barwie, ruchach, sposobach; wszak to personat, którego istotny charakter, zwyczaje, kluczenie darmo siłą się zbadać ludzie i nauka myśliwska, tak odmiennym jest od reszty drapieżników. Niby odznaczający się prostotą życia, upodobań, środków, a przecież będący jakimś niepomiernie szczwanym, ostrożnym, niezbadanym, mistycznym, niesamowitym. Jest to poganin, międzynarodowy bandyta, korsarz na wielkich drogach, typ wschodni, silny, krwiożerczy, podstępny. Tyle razy sąsiedzi moi na stanowiskach widzieli, strzelali, zabijali wilki,—kilka razy patrzyłem na nie już zabite, leżące,—ja nigdy z żywym nie miałem spotkania.

Póki żył ś. p. Tomasz Potocki, syn Konstantego, ciągnęło mnie najbardziej do Rzepichowszczyzny (240.000 morgów), bo prócz kniei pełnej zwierza, był Tomasz przyjaciel i myśliwy, jakich mało było i będzie w Polsce—znał myśliwstwo poleskie jak poleszuk. Po nieodżałowanym jego zgonie 1915 r. w obronie Warszawy pod Rokitnem, myśl moja zwracała się z tęsknotą w stronę Dawidgródka (500.000 morgów w jednym kawale), gdzie tradycja łowów na grubego zwierza od setek lat żyła i trwała w Radziwiłłowskim rodzie i święciła tryumfy. Po ś. p. Stanisławie Radziwille, poległym bohatersko 1920 r.—odziedziczył Dawidgródek Karol Radziwiłł, i ten to znakomity myśliwy, strzelec, postanowił wskrzesić przeszłość i począł prowadzić ze znawstwem i umiłowaniem łowiectwo tak, jak trzeba, aby boskie te puszcze, słynące z wielkiego myśliwstwa, otoczyć opieką, uczynić znowu siedzibą zwierza (przez wojnę wytropionego) i grono wybranych towarzyszów dopuścić do tego przybytku, który się Dawidgródkiem zowie.

Kilkakrotnie proszony najgościnniej, dopiero w końcu lutego 1923 tam się wybrałem. 2 marca, straże leśne, po zbadaniu ostępów (tropienie z powodu olbrzymich przestrzeni jest tam prawdziwą kwestją stanu)—meldowały: w najbliższej kniei, Stasinie, 3 wilki, — w innych 17 wilków, 8 rysiów oraz pewną ilość dzików. Tegoż dnia zdecydował Karol, że jedziemy do najbliższego miejsca. Wyciągnęliśmy się sznurem sań o jednym koniku z kabłągiem, każdy miał swoje; dębniak, ukochana beczułka Karola z wódką, ma specjalny zaszczyt, że także na osobnych saneczkach spoczywa i jedzie pierwsza; raz po raz na nią ktoś woła, moczy usta, odwilży gardło, — i suniemy dalej.

Obrazek poleski, jedyny; po drodze straż leśna, od rana na wywiady porozsyłana, dopada do nas ciągle, donosząc, że wilków jest trzy, może nawet więcej, ale śnieg twardy, więc trudno oznaczyć dokładnie ilość i miejsce. Pytania się krzyżują z odpowiedziami, to gromko, to szeptem, — mało ze skóry nie wyskoczę. Poleszuki w kożuchach, czapach przedhistorycznych i chodaczkach łykowych, jak leśne jakieś zjawiska przystosowane do życia puszczy i krajobrazu, ludzie pierwotni, nieodłączni od natury, jak górale w Karpatach, otaczają nasze sanie, bystrym wzrokiem ogarniając wszystkich myśliwych. Jest nas sześciu, t. j. Karol i Artur Radziwiłłowie, Ludwik Czetwertyński, Iżycki, Konstanty Zamoyski z Różanki, Jan Tarnowski z Dzikowa i ja. Ale wszystkiem rządzi czujnie Karol. Każe brać ostęp i zaraz sznurami otaczać. — Wysiadamy, idziemy kawał pieszo, wreszcie stawia mnie pierwszego na skrzydle prawem. Szepnąwszy, że tu wilki muszą iść, że Wojtek Wielopolski dużego wilka w tem właśnie miejscu kiedyś zabił — odchodzi, wiodąc za sobą strzelców, obstawiając nimi dalsze stanowiska, dobrze sobie znane. Jedynym moim sąsiadem z lewej strony jest Konstanty Zamoyski.

Moje stanowisko jest następujące: przed sobą mam rzadkawe sosenki poleskie, podszyte liściastemi krzakami, gdzieniegdzie łozę (latem miejsca mokre); w rzadszych miejscach widzę przed sobą na 40 kroków, w gęstszych do 15-stu; w tyle mam wyższą sośninę podszytą; na lewo jakby ścieżkę wyraźniejszą tak, że widzę Iżyckiego; na prawo jakby rowek mało wyraźny, do którego dochodzi gąszczyk sosnowo-liściasty. Siadam na krzesełku, na którem mogę się obracać dowolnie wokoło, nabijam sztucer, strzelbę, i poczynam badać najdokładniej teren. Marcowe słońce (było koło 11 rano) zaczyna dogrzewać, robi mi się błogo, ciepło, zrzucam pelerynę lisią. Koło mnie stare ślady wilcze. Na prawo, po za wzmiankowanym gąszczem, o jakie 100 kroków odemnie polanka, od niej o 200 kroków skrzydło ze sznurami.

Siedzę godzinę i poznaję się dokładnie z każdą drzewiną, każdym krzakiem, z płaszczyznami śniegu, widzę wygodne i niewygodne do strzału miejsca. I dziwna



Na jesiennem polowaniu (w głębi ś. p. Henryk Sienkiewicz).

rzecz, po pewnym czasie, ogarnia mnie coraz bardziej uczucie, że w obrębie mego panowania nad knieją nie jestem już sam, że coś jest gdzieś w mojem otoczeniu, w tej wielkiej nieznanej przedemną gęstwinie, — jakiś genius loci; — że dwie wole się mocują w tej chwili, ta, która chce zdobyć, i ta druga, która chce się uchylić od złowienia, która kluczy. Wytkną na mnie wilki czy nie? Mam jakieś przeczucia, jak w przeddzień rzeczy szczęśliwych miewa się dreszcze rozpoznania i jasnowidzenia. Robię się coraz mniejszy na krzesełku i czuwam. Słyszę raptem daleki strzał kulą na skrzydle lewem. Patrzę na sąsiadów, widzę ich prawie wszystkich, stojących i wpatrzonych w knieję; niektórzy, pochylając głowy, ku gąszczom wypatrują srogo.

Po chwili słyszę przed sobą łamanie haszczów, trzeszczenie gałęzi, tętent, — nie wiem już co, — moment przejmujący — i widzę ogromnego, czarnego wilczurę, z lewej strony ku prawej walącego w ciężkim galopie poprzez gąszczyki o 25 kroków. Robi na mnie wrażenie hyeny ze względu na wysoki przód a niższy zad. Składam się, strzelam śrutem w komorę, wilk upada przodem, wstaje, dostaje podobny strzał drugi, pada, znów wstaje, i ciężko znacząc, przepycha się z trudnością przez gąszcz prawy, znika w nim. Tyle go widzę. Przechodzę tortury wstydu, że nie padł na miejscu, czuję jednak, że strzały ma doskonałe, że trafiony dobrze, strzelba i ładunki wyborowe. Podnoszę głowę i widzę ze stanowiska kupy farby na strzałach. Od skrzydła prawego słyszę znowu krzyk: „Wołk, wołk“—zwracam się na prawo, w gąszczu przed rowkiem coś się przepycha — i widzę na 22 kroki wilka innego, bardziej żó tego, zabierającego się do przeskoczenia rowku w przesmyku dzielącym nasz miot od starszego lasu. Strzelam, nauczony doświadczeniem, już w kark, wilk chlasnął przez łeb, rusza się jeszcze, dobijam. Miot skończony, myśliwi się schodzą; pierwszy strzał na skrzydle lewem był Karolową kulą; odstrzelił ze stadka trzech wilczur sukę, poczem kompanja tak uszczuplona szła wzdłuż linii myśliwych, pierwszy na mnie, zestrzelany, drugi uderzył na skrzydło prawe, skąd go nawrócono, i był moim drugim.

Skrzydłowa naganka widziała po pierwszym mym strzale wilka rannego, słaniającego się, przystającego co chwila, żygającego juchą, wynoszącego się po za linję. Dobiegło go paru poleszuków, i gdy ja z Karolem, idąc śladami postrzałka, znaczonemi obfitą farbą, zapuszczaliśmy się w kierunku jego ucieczki, — już go mieli naganiacze; widzę jeszcze, jak go z daleka, niosą krzycząc z radości, że jest i że taki ogromny (uszedł jeszcze 150 krok. po strzale). Niebo mi się odsłania: zabiłem pierwsze wilki w życiu; — rozumiem, co czuł Podbipięta po ścięciu wymarzonych trzech głów tatarskich!

Karol zarządza uroczystą pobudkę na rogach bawolich, ale przedtem zajeżdżają saneczki z beczułką przyjaciółką. Karol goli pierwszy, potem ja wysączam śmierdziuchę z dębniakowego wypukłego otworu, jak z cycka, — nigdy smakowita pierś cudnej Altmeny nie pożywiła silniej Heraklesa. Poleszuki trąbią, knieja rozbrzmiewa sławą i radosnym hejnałem, Karol obsmarowuje mi wilczą juchą fizjonomię,—jestto tradycyjne uświęcenie ręką samego Radziwiłła uczynione, znak przymierza między mną a Polesiem.

Następnych dni jeździliśmy jeszcze, chcąc dobrać się do reszty obtropionej kompanii wilków i rysiów, w dalsze ostępy. Ale wiosenne wody ruszyły już i szły górą po lodach Horynia i Prypeci; w jedną stronę było dobrze, w powrotną ciężko i niebezpiecznie; odwilże rozpuszczały okowy zimowe, taką jest potęga słońca i ciepła. Więc na inny raz. Żegnałem z tęsknotą te świątynie dziczy, samotności, poezji, te puszcze smutne, tajemnicze, głuche, ten nieporównany swą pierwotnością krajobraz, jedyny w swym rodzaju a pełen niewysłowionych rozkoszy dla myśliwego i miłośnika natury. Tam się ją bardziej czuje, rozumie i kocha.

Edward Krasiński.



Waruj!..

Z POLOWAŃ WE WSCHODNIEJ MAŁOPOLSCE.

Tegoroczne polowania w Skałacie (własność p. Aleksandra Rozstockiego) wypadły doskonale. W ciągu dwóch dni, w 12 fuzji, zabito — tylko w lesie — 560 zajęcy i dwa lisy. Piękny ten wynik zawdzięczać należy starannie i racjonalnie prowadzonej gospodarce oraz wytrawnej organizacji polowania.



GRUPA MYŚLIWYCH W LESIE.
WŚRÓD UCZESTNIKÓW ZNANY PUBLICYSTA, POSEŁ NA SEJM, WŁADYSŁAW RABSKI I RED. STEFAN KRZYWOSZEWSKI.



ŚNIADANIE PODCZAS ZADYMKI.



STREKA.

Zdjęcia p. Jerzego Olewińskiego.

RYŚ.

Mocny dzwonek telefonu przerwał mi pracę.

— „Hallo! Pracujesz? No to rzuć to wszystko w kąt i szykuj się do polowania. Otrzymałem depeszę od Roberta, dwa rysie są w ostępie. Wyjeżdżamy o 6-ej.

Posłałem telefonicznego całusa Zabielle, gospodarzowi naszego kółka myśliwskiego. Byłem właśnie w okresie wytężonej a przewlekłej pracy, która zdążyła mię znużyć, a nie potrafiła rozentuzjazmować. Przykuty do biurka, zapomniałem, że jest poza Petersburgiem wspaniały świat przyrody, ubrany w tej porze w cudowne szaty zimowe, prześwietlony słońcem.

O godzinie 9-ej w. tegoż dnia 6 nas myśliwych wysiadło z wagonu kolejki Irinowskiej na stacji Szeremietjewka. Na peronie czekał w postawie służbowej jeden z gajowych. „Rysie są"! meldował, nie czekając na nasze zapytanie. Podniecone ożywienie, które nam dotąd towarzyszyło, wzmogło się jeszcze bardziej. Baraszkując i śmiejąc się, usadowiliśmy się w trojgu saniach, które zjechały powoli z wysokiego brzegu Newy na lód i ruszyły na przełaj do leżącego na brzegu przeciwnym Szliselburga.

Minęliśmy ponure mury twierdzy, zaludnionej jeszcze w owym czasie skazańcami politycznymi, przejechaliśmy już układające się do snu małe miasteczko prowincjonalne i wstąpiliśmy na wspaniale utartą przez liczne karawany z rybą drogę po lodzie obwodowego kanału Ładoskiego.

Otoczył nas urok cichej nocy zimowej, rzeźwy powiew szerokich przestworzy napełnił płuca, oczy z rozkoszą utonęły w rozgwieżdżonem niebie. Tu dopiero osiągnęliśmy całkowitą świadomość wyzwolenia się z szarzyzny codziennego życia wielkomiejskiego, a powrót ten „do natury" manifestowaliśmy, naprzemian, to chwilami cichej kontemplacji, to wybuchami żakowskiej wprost wesołości. Po parogodzinnej jeździe stanęliśmy przed domem myśliwskim, witającym nas gościnnie jasno oświetlonemi oknami.

Stary gajowy, Robert, złożył krótką relację: dwa rysie zostały w ostępie otropione wczoraj rano; sprawdzenie dokonane dzisiaj stwierdziło ich obecność; jutro rano przed obławą ostęp będzie raz jeszcze objechany. Pełni najlepszej otuchy zasiedliśmy do kolacji i beztroska pogawędka przeciągnęła się długo.

Kiedy nazajutrz rano, obudzony zwykłą pobudką myśliwską, wyjrzałem przez okno, słońce skrzyło się miljardem iskier na śniegu, białe dymy wznosiły się prostopadle nad chatami wioski, stare, puszystą sadzią okryte olchy przed oknami odcinały się ostro na niebieskiem niebie.

„Jakże dobrem jest życie!" wyrwał się mimowolny okrzyk, zrównoważony zresztą zaraz refleksją: „czasami!"

Kończyliśmy właśnie śniadanie, kiedy wrócił z objazdu Robert. „Wszystko w porządku!" meldował. Podano sanie i ruszyliśmy gęsiego drogami polnemi do ostępu.

Pod gęstą ścianą lasu stał tłum naganiaczy, przytupując z zimna i prowadząc przyciszonym głosem rozmowy. Dwóch młodszych gajowych zajęło się zaraz zaciąganiem naganki, a myśmy rzucili losy o stanowiska. Wyciągnąłem № 5, sąsiadami zaś moimi byli Zabiełło i inż. Ryzów, obaj pierwszorzędni strzelcy.

Robert kazał podać nam narty i ruszył przodem wgłąb lasu. Ustawiliśmy



P. Błeszyński z zabitym przez siebie rysiem (w lasach Wiadotupickich.)

się wedle kolejności stanowisk i sunęliśmy śladem pierwszych nart, co znakomicie ułatwia chodzenie.

Las wyglądał wspaniale. Dołem zalegał niepokalanej białości śnieg, poznaczony tropami mieszkańców leśnych, plamami złotego słońca i granatem cieni drzew. Ciemne świerki i rozłożyste sosny uginały się pod płatami obfitego śniegu, a delikatne gałązki brzózek i osiny zdawały się być jeszcze bardziej wysubtelnione dzięki białej sadzi. Rzadkie polanki zalane były słońcem i nęciły wzrok swoją dziewiczością i pogodnym spokojem.

Moje stanowisko wypadło na tropie wchodowym rysia. Matematycznie równy sznur wyraźnych odcisków prowadził w głąb lasu, podniecając wyobraźnię świadomością, że oto w końcu tego sznura znajdzie się tam gdzieś ryś, ten pyszny, a coraz rzadszy mieszkaniec puszcz europejskich.

Zszedłem z nart—i zapadłem w śnieg powyżej kolan. Pozycja taka okazała się nadzwyczaj niewygodną, bo krępowała ruchy, a przytem zwężała ogromnie pole widzenia. Ułożyłem więc narty obok i stanąłem na nich, jak na desce.

Rozejrzałem się wokoło, aby poznać topografję stanowiska. Wprost przed sobą miałem zwartą kępę chojaków, gęsto przykrytą śniegiem. Właśnie w tę kępę zanurzał się trop wchodowy rysia. Po obu stronach kępy las był rzadszy i dawał możność sięgania wzrokiem wdal. Za mną ciągnął się zagajnik młodszy, niższy, ale z poszyciem dość gęstem.

Nabiłem strzelbę loftkami i począłem nadsłuchiwać. Sygnału naganki jeszcze nie było, ale przeciągnęło nademną kilka cietrzewi—oznaka, że naganka już otacza ostęp.

W tej samej chwili rozchyliły się przyziemne gałęzie choiny w kępie i wynurzyła się z nich głowa o ostrych uszach, szerokich bokobrodach i bystrych dużych oczach, wbitych wprost we mnie.

Zanim zdążyłem przyrzucić strzelbę do ramienia, ryś głowę już cofnął. Z bijącem sercem wpatrzyłem się w kępę, licząc, że ryś nie zawróci wstecz, bo właśnie doszedł mię odgłos trąbki i okrzyki naganki. Istotnie ujrzałem wkrótce rysia wymykającego się bokiem w odległości dość znacznej. Strzeliłem i widziałem, że zwierz osiadł trochę na zadzie, ale zaraz się poprawił i poszedł dalej. Niestety, wskutek zbyt silnego naboju straciłem po strzale równowagę i ześlizgnąłem się z nart. Możność drugiego strzału była stracona. Serce biło jak młot ze wzruszenia. Pomimo żalu z powodu niepowodzenia ogarnęło mię gorące pragnienie, aby rzadki ten i wyraźnie postrzelony zwierz nie uszedł.

W tej chwili rozległ się strzał mego sąsiada. „Ryżow wziął go" pomyślałem nie bez zawiści.

Ale nie, bo jeszcze chwila i rozległ się znowu wystrzał, tym razem na następnem stanowisku.

„Czyżby ryś się wymknął?" Ale refleksje te zostały przerwane przez partję cietrzewi, przelatujących wprost nademną. Strzelałem loftkami i pyszny kogut runął mi pod nogi. W tej samej chwili dwa bielaki, uchodząc przed zbliżającą się coraz bardziej naganką, wpadły wprost na mnie, tak że musiałem je wypuścić nieco, aby się móc złożyć i wziąć jednego z nich w chwili zanurzania się w zagajnik.

Miot się skończył. Oddałem zwierzynę jednemu z naganiaczy i pospieszyłem w kierunku, gdzie mi znikł z oczu ryś.

Ryżowa nie znalazłem już na stanowisku, co świadczyło, że istotnie chybił. Sunąłem więc dalej i już z tłoku myśliwych i naganiaczy przy następnem sta-

nowisku poznałem, że szczęśliwym zdobywcą rysia jest Jakowlew, stary, wytrawny myśliwy, lubiany ogólnie dla swej jowialności i szczerego umiłowania natury.

Istotnie, na śniegu przed jego stanowiskiem leżało przepyszne, czyniące w naszym lesie wrażenie jakiejś egzotyki, zwierzę o wspaniale centkowanem, puszystem futrze, potężnej głowie z bokobrodami i krótkim a grubym ogonie.

Ryś był trafiony przez Jakowlewa doskonale, w komorę. Mój strzał, jak się okazało potem, po zdjęciu skóry, złamał mu górny wyrostek jednego z kręgów, ale bez naruszenia mlecza, i uszkodził biodro lewej nogi tylnej, nie łamiąc kości. Spowodowało to jednak zwolnienie biegu.

Zwycięzcę otrąbiono i ruszono z powrotem do domu, gdyż ze względu na wymknięcie się drugiego rysia nie chciano płoszyć go dalszemi miotami.

Po wczesnym obiedzie wyruszyliśmy przy cudownym wieczorze zimowym w drogę powrotną i przed północą byliśmy już w domu, bogatsi w szereg nowych wrażeń i odświeżeni na ciele i umyśle.

J. Gieysztor.

ŁOWIECTWO W SZTUCE.

Łowiectwo wielką odgrywa rolę w dziejach malarstwa polskiego. Piękno, jakie się kryje w tym sporcie, promienieje uwiecznione w dziełach sztuki. Artyści-malarze o wybitnych talentach i w myśliwstwie rozmiłowani, upodobali sobie tematy łowieckie, tworząc wiekopomne dzieła sztuki. Rozmaitość zwierza, krajobraz, pory roku, towarzystwo biorące udział, oraz różne sposoby polowania — wszystko to wpływa na bogactwo tematów.

Juljusz Kossak w swych arcydziełach malarskich doskonale ilustruje przepych polowań królewskich z sokołami. Udział w tych polowaniach brał cały dwór. Obrazy te są i pozostaną charakterystyką przepychu minionych czasów.

Wojciech Kossak dał nam również bogaty materjał w swych kapitalnych polowaniach par-force, dziś już tak mało spotykanych. Tu jeździec, koń, pies gra główną rolę, a dla artysty-malarza wielkie pole popisowe. Józef Chełmoński stworzył szereg znakomitych prac myśliwskich. Obraz jego zatytułowany „Kuropatwy" jest arcydziełem wszechświatowej sławy. Zdobył on na wszystkich wystawach nagrody. Między wieloma wysokiej wartości utworami wyróżniły się „Głuszce" i „Wilki". Wilk był także niewyczerpanym tematem dla znakomitego artysty i myśliwego, jakim był A. W. Kowalski. Obrazy jego stały



Na kuropatwach. Znany artysta-malarz, Franciszek Ejsmond, doskonały myśliwy, podczas krótkiego odpoczynku.



„Wilk" — A. Wierusz-Kowalski.



Nieznany w Polsce autoportret A. Wierusza-Kowalskiego na polowaniu.
Fotogr. ze zbiorów p. Fr. Ejsmonda.

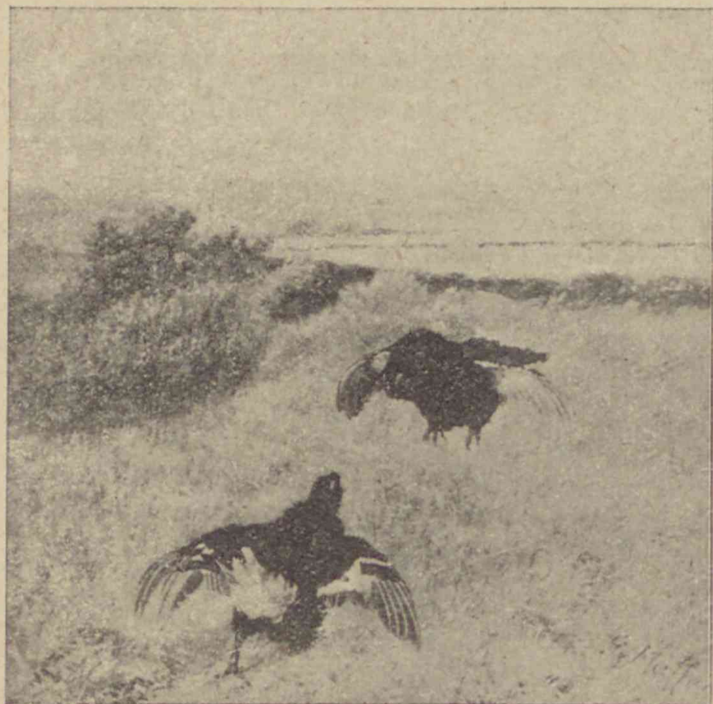
się sławnemi na cały świat i nosiły cechę polskości, zdobywając artyście wielkie imię, a Polsce przynosząc zaszczyt. Sama Ameryka zakupiła setki tych dzieł. Najpopularniejszemi z nich były: „Na Gromniczną" i „Napad wilków". Dzieło to wielkich rozmiarów było prawie ostatnią pracą artysty a ostatniem wspomnieniem myśliwego. Józef Brandt często poruszał w swych znakomitych utworach tematy myśliwskie. Kazimierz Pochwalski, sławny portrecista i myśliwy, najbardziej upodobał sobie „Toki głuszcowe".

Juljan Fałat, najznakomitszy akwarelista polski, jako malarz i myśliwy z bronią i pędzlem w ręku zaszył się w głębokiej puszczy litewskiej, aby uwiecznić najpiękniejsze wrażenia, jakie tam przeżył. Cykl jego obrazów z polowań na niedźwiedzie w Nieświeżu wywołał wśród myśliwych ogólny zachwyt. Chcąc zaspokoić szerokie masy wielbicieli, wydał piękne albumy, składające się z samych scen myśliwskich oraz portretów osób biorących udział i typów miejscowych leśników. Mistrzowsko traktowane niedźwiedzie, łosie, jelenie, dziki, głuszce Fałatowskie wiecznie w sztuce polskiej żyć będą.

Henryk Weyssenhoff wielkie położył zasługi w dziedzinie łowiectwa w sztuce. Jego obrazy: „Łoś" uciekający przed pogonią, „Młode niedźwiadki" i wiele innych są wysokiej wartości dziełami. Stanisław Masłowski, Józef Ryszkiewicz ozdabiali nasze wystawy obrazami o wybitnych cechach i charakterze myśliwskim.

Myśliwstwo w Polsce jest tak popularne, że z trudnością przychodzi mi zakończyć moją notatkę. O wielu artystach wypadałoby mi jeszcze napisać, wobec jednak ograniczonego miejsca na tem krótkiem sprawozdaniu poprzestać muszę.

Franciszek Ejsmond.



Toki cietrzewi.



„Po polowaniu". Fr. Ejsmond.

Ze Stowarzyszeń Łowieckich.

Polski Związek Myśliwych.

Staraniem Woj. Poznańskiego p. dr. Celichowskiego założono w Poznaniu dnia 12/V. 1920 r. Polski Związek Myśliwych, mający na celu propagandę prawidłowego łowiectwa. Związek rozwinął się szybko i zgromadził dokoła siebie 36 towarzystw myśliwskich, przez co stał się centralą łowiecką na całą Rzeczpospolitą. Delegaci poszczególnych związków mieli tworzyć sejmik suwerenny, wybierający zarząd i dający dyrektywy. Siedziba miała być z Poznania przeniesioną do Warszawy. W tej myśli ustawy zostały zmienione 16 czerwca 1921 r.

Sejmik 19/VI 1922 r. przewidywał zmianę ustaw P. Z. M. i wybrał w tym celu Komisję z 5 osób.

Komisja ta odbyła pierwsze posiedzenie dopiero 27/X, na którem uchwalono nowy projekt ustaw, lecz już nie dla P. Z. M., a dla zupełnie nowej organizacji, której dano nazwę: Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich.

Delegat P. Z. M. zaprotestował przeciw temu, twierdząc „iż Komisja nie ma prawa uważać się jako korporacja suwerenna i samowolnie na mocy przez siebie ułożonych ustaw organizować nowe zrzeszenia".

Główny Zarząd P. Z. M. zawiesił na jakiś czas swą działalność, ale obecnie rozpoczął ją na nowo na skutek żądań towarzystw łowieckich, wchodzących w skład P. Z. M.

P. Z. M. zasłużył się dobrze łowiectwu naszemu: organizował i popierał liczne tow. myśliwskie, zorganizował oddział kinologiczny, konkurs psów myśliwskich, wystawę łowiecką, założył pismo „Łowca Wielkopolskiego", który potem wychodził pod tyt. „Łowiectwo Polskie", a w roku ub. połączył się w jedno pismo z warszawskim „Przegl. Myśliwskim", ułatwiał hodowcom sprowadzanie zajęcy, kuropatw i bażantów, nagradzał zasługi straży łowieckiej i był superarbitrem w myśliwskich sporach. Obecnie ujął w swe ręce sprawę reprezentacji strzelców polskich na Olimpjadzie paryskiej.

Znamienną jest odezwa Gł. Z. P. Z. M., ogłoszona w „Łowiectwie Polskiem", z czerwca r. ub. Czytamy tam następujące słowa: „Polskie społeczeństwo łowieckie daje niestety obraz pierwszego naszego Sejmu, gdzie osobiste ambicje i prywata stały ponad wszystkiem. Ale pierwszym Sejmem, powiedzmy to na jego usprawiedliwienie, rządziły mniejszości nie tylko narodowe, ale i umysłowe".

Oby takiego „usprawiedliwienia" nie powiedział ktoś kiedyś o naszem społeczeństwie łowieckiem, rozbitem na dwa obozy.

Centralny Związek Polskich Stow. Łowieckich w Warszawie.

Z inicjatywy p. Janusza Domaniewskiego powstała myśl stworzenia powyższego Związku. Statut opracowała Komisja P. T. Ł. w Warszawie w osobach pp. Knothego, Lilpopa i Sztolcmana. Zjazd odbył się 26 V. 22 r.

Na odbytym w Poznaniu Sejmiku 19 VI 22 r. wybrano Komisję organizacyjną, mającą zająć się ostatecznem utworzeniem ogólno-państwowego związku Tow. Łow. Komisja zebrała się w Warszawie 27 X 22 r. i uchwaliła między innemi, że celem Centr. Związku jest zrzeszenie wszystkich stowarzyszeń i instytucji pracujących w zakresie gosp. łowieckiego, oraz że tworzy się Centralę w Warszawie i oddziały, do których zapisują się poszczególne stowarzyszenia.

Poleskie Towarzystwo Myśliwskie.

W 1920 r., gdy po przejściu wszechświatowej burzy poczęło wracać powoli życie normalne, stęsknieni za knieją myśliwi i hodowcy zaczęli radzić, jak zapobiedz dalszemu tępieniu coraz rzadszej na obszarach Rzeczypospolitej Polskiej zwierzyny, takiej jak łosie, jelenie, bobry i głuszce.

Inicjatywę ujął w ręce swe znakomity myśliwy, p. St. Lilpop i stworzył rzecz doniosłą, niestety niedocenioną jeszcze przez sfery rządzące, a przedewszystkiem przez Min.

Rolnictwa, przy którym się mieści sekcja łowiecka.

Na apel p. Lilpopa zgłosiło się kilkudziesięciu myśliwych. Powstał zarząd, na czele którego stanął inicjator. Specjalna Komisja ułożyła surowy regulamin, niezbędny po wyniszczeniu zwierzyny przez okupantów i kłusowników. Zaczęto szukać odpowiedniego terenu.

Dzięki osobistym wpływom i stosunkom wydzierżawiono na dłuższy okres czasu (9 lat) polowanie w Nadleśnictwie Różańskiem, Kartuz-Berezkiem, Wiadotupickiem, Kossow-



St. Lilpop, znany myśliwy, Prezes Poleskiego T. Myśl.

skiem oraz w prywatnych lasach Michalina, łącznie przeszło 160.000 hektarów. Odrestaurowano duży, b. wygodny dom myśliwski w Michalinie. Wydzierżawiono i odrestaurowano dworek w Kossowie (p. Jundziłła) przy stacji Iwacewicze, poczem przystąpiono do organizacji na miejscu. Pierwszym szczęśliwym krokiem zarządu było pozyskanie na stanowisko nadłowczego p. Aleksandra Lenkiewicza, znanego ziemianina z Mińszczyzny. Zmuszony przez wypadki dziejowe do porzucenia gniazda rodzinnego p. Lenkiewicz złożył w ofierze Towarzystwu wielkie umiłowanie myśliwskiego zawodu, długoletnie doświadczenie oraz niepospolity zmysł organizacyjny. Niech tych kilka słów uznania będzie mu osłodą za tyle gorzkich chwil walki, gdy musiał się borykać na olbrzymich przestrzeniach zniszczonych przez wojnę nietylko z niewygodami i wszelkiego rodzaju brakami, nietylko z kłusownictwem, lecz niestety i z zupełnem niezrozumieniem przez sfery, od których miał prawo spodziewać się pomocy.

Towarzystwo liczy 33 członków. Personel łowiecki składa się z 20 osób (Łowczy, 3 podłowczych, 5 objazdowych i 11 strzelców). Są też w domu łowieckim psy gończe, ułożone specjalnie na dziki i wyżły, służące do polowania na ptactwo, należące do poszczególnych członków Towarzystwa.

Co znaczy opieka i spokój w rewirach — tego nam dowodzi zwierzostan, który stale powiększa się, i rozkłady polowań — coraz lepsze. Rezultaty mogłyby być znacznie większe, gdyby Zarząd lasów państwowych na terenach dzierżawionych przez T-wo Poleskie 1) zabronił straży leśnej trzymania dubeltówek i karabinów, dając jej wzamian daleko odpowiedniejsze do obrony osobistej rewolwery, 2) nie pozwolił gajowym na branie ze sobą do lasu psów, 3) cofnął rozporządzenie tępienia drapieżników, 4) oddał bobry pod wyłączną opiekę Towarzystwa. Jak dalece zarządzenia obecne nie odpowiadają celowi, stwierdza fakt, że na okólnik p. Lenkiewicza do nadleśnych z zapytaniem, ile drapieżników rządowi gajowi zniszczyli w roku ubiegłym, Nadl. Różańskie odpowiedziało, że ani jednego, Nadl. Kossowskie, że nie otrzymało dotąd o tem raportów, a Nadl. Wiadotupickie i Berezkie żadnej odpowiedzi nie dało. Wiemy natomiast dobrze i mamy na to liczne dowody i świadków, że strzelcy rządowi używają broni do strzelania zwierzyny łownej, a w zimie po śniegu polują na kuny i wiewiórki ze względu na ich cenne futra. Co zaś dotyczy psów, to używają je wyłącznie do tropienia zwierzyny.



Przygoda na Polesiu. Ze zbiorów p. H. Knothego.

Bobry, których jest obecnie 8 rodzin, mają swoje domki nad niedostępną rzeczką Żygulanką. Są one wyłączone z kontraktu dzierżawnego polowań T-wa Poleskiego i zostają pod wyłączną opieką rządową. Jak na tem wychodzą — widzimy to z następującego faktu: w przeszłej zimie zostały sprzedane żydowi w Byteni pod Słonimem 2 skórki bobrowe — na co są świadkowie, a w listopadzie r. ub. znalazł nasz objazdowy nad Żygulanką zabitego bobra, świeżo odartego ze skóry.

Towarzystwo Poleskie wydzierżawiało teren bez ograniczeń. Dobrowolnie zrzekło się 25% przestrzeni na polowanie dla nadleśnych rządowych. Funkcjonarjusze państwowi obowiązani są przestrzegać zasad regulaminu towarzystwa.

Józef Błeszyński.



Myśliwskie Kółko Otwockie.

Myśliwskie Kółko Otwockie im. św. Huberta, założone przez grono przemysłowców warszawskich przed 30 laty na terenach Otwocka Wielkiego i okolicznych wsi włościańskich (około 12 tys. morgów). Tereny te były puste, ziemia uboga, krzaki jałowców i wrzosowiska, mokradła porośnięte liściastemi krzakami, przeplatane sosenką i świerkiem, stanowiły doskonałą ostoję dla sarn. Zwierzostan z roku na rok poprawiał się tak, że w latach 1910—13 padało rocznie około 1000 zajęcy, 1000 kuropatw, 40 rogaczy, bażanty, słonki na ciągu, kilkanaście kogutów cietrzewi na tokach i moc błotnego ptactwa. Cały rok było polowanie. Wojna zdezorganizowała gospodarkę łowiecką, ale jeszcze w 1918/19 r. zabijało się $^1/_3$ podanej poprzednio ilości. Obecnie zwierzostan zeszedł prawie do zera z następującego powodu: Okoliczni włościanie do spółki z wydalonymi strzelcami Kółka założyli włościańskie Kółko Otwockie, zatwierdzone przez M. S. Wewn. Zaczęło się tępienie zwierzyny. P. Starosta utrzymuje, że nie może się pozbawiać dochodu za bilety na broń i prawo polowania i jako urzędnik idący z postępem czasu nie może odmówić poczciwym kmiotkom przyjemności myśliwskich. Nie zdaje sobie sprawy, że 1000 zajęcy to jest 10 tys. funtów mięsa, które było co rok przywożone do Warszawy i które by obecnie mogło częściowo zapobiedz drożyźnie mięsa.

Kilkakrotne zwracanie się do pp. Starosty, Wojewody i innych władz nie odniosło żadnych skutków do tej pory. Kiedyż nareszcie władza zrozumie, że zwierzostan to bogactwo kraju, że polować może tylko myśliwy-hodowca, gdyż myśliwym nigdy nie jest ten, kto zabija, ale ten, kto przedewszystkiem przyczynia się do hodowli zwierzyny.

C. Lisowski.



POLOWANIE Z PUHACZEM.

W jeden z dni październikowych, zabrawszy puhacza i strzelbę, udałam się do mej budki myśliwskiej, z żalem rozmyślając o blizkim już wyjeździe na zimowe leże i rychłem zakończeniu moich myśliwskich rozkoszy. Wpatrzona w puhacza, zauważyłam dziwne zachowanie się jego. W zupełnie odmienny, niż zazwyczaj, sposób objawiał dziś swój niepokój.

Bez żadnych uprzednich znaków ostrzegawczych zaczął nagle dygotać i trząść się, jak w febrze. Zjeżył pióra, rósł w oczach, potworne przybierając kształty, wreszcie runął z palika na ziemię, wyrywając z zaciekłością całe kępy zielska. Dziobem próbował zerwać więżące go pęta, miotał i szarpał się, jak szalony. Nie mogłam zrozumieć powodu tak niezwykłego przerażenia, temwięcej, że, jak okiem sięgnąć, niczego na niebie dopatrzeć się nie mogłam. Naraz mój puhacz rzucił się nawznak i potężne swe szpony kurcząc i prężąc zadawał w powietrzu ciosy niewidzialnemu jakiemuś wrogowi. Jednocześnie ozwał się złowieszczy głos jego: Uhu! uhu! i w tejże chwili spostrzegłam po ziemi płynący cień, jak od chmury. Spojrzałam w górę. Nad puhaczem przeciągał olbrzymich rozmiarów sęp królewski o długiej, gołej szyi, okolonej śnieżnym puchem.

Zjawił się on nagle z poza stogu, przy którym była moja budka. W oczach mi pociemniało, tętna jak młotem waliły. Strzeliłam raz i drugi. Strzał był bliżki.

Puch posypał się obficie. Zakołysał się ptak wspaniały — raptownie lot swój zniżył i... Psiakrew!!.. popłynął dalej w świat.

Nabój był za słaby. Doprawdy pech jakiś specjalny, żeby okaz tak niezwykły pojawił się był właśnie w pierwszym roku mych polowań, gdy posiadałam jedynie broń 28-go kalibru.

W kilka dni po tej przygodzie dowiedziałam się, że postrzelonego sępa zabito w Puszczy Kampinoskiej.

Marja Ejsmondowa.

Literatura myśliwska Odrodzonej Polski.

W śmiertelnych zapasach z kłusownictwem nieochronione żadnem prawem myśliwstwo polskie w pierwszem pięcioleciu niepodległości walczyło o byt niemal bez nadziei zwycięstwa. Wyginął żubr, przetrzebiono zwierzostany łosi, jeleni i sarn, przerzedziła się i drobna zwierzyna. Bolesny krzyk stojącego nad przepaścią łowiectwa był głosem wołającego na puszczy.

I jeden tylko kwiat śród chwastów tysiąca wydała gleba ojczystego myśliwstwa. Kwiatem tym przedziwnej woni i koloru była nasza odrodzona literatura łowiecka.

Jak ongi w czasie niewoli wielka poezja była katechizmem narodowym, tak obecnie po odzyskaniu niepodległości w chaosie bezprawia myśliwskiego literatura wzięła na swoje barki cały ciężar uświadamiania ogółu, cały ster nawy łowieckiej i „mając nadzieję wbrew nadziei“, wskazywała, co czynić należy, by prawo pisane zastąpić prawem moralnem a ustawę obowiązującą — wyższą etyką myśliwską.

I stał się fakt, że literatura wyprzedziła prawodawstwo. Nowe pojęcia bezmiernego ukochania przyrody i ochrony jej pomników przeniknęły powoli do serc myśliwskich i zastąpiły w nich pojęcia dawne, przestarzałe. Daremnie prawodawstwo, nawiązując do dawnej tradycji, będzie usiłowało tępić bezwzględnie drapieżniki. Daremnie projekt ustawy łowieckiej, opracowany przez poważnych myśliwych, usiłuje dzielić zwierzęta łowne na pożyteczne i szkodniki godne tępienia. Literatura już wypowiedziała się pod tym względem. Niema zwierząt szkodliwych. Drapieżniki są niezbędne w rewirze. Zanik ich byłby szkodliwym dla zwierzyny łownej. Literatura na ukochaniu przyrody oparta wycisnęła tak wielkie piętno na naszych sercach myśliwskich, iż przyszłe prawo musi na tem ukochaniu opierać się i musi skreślić wszystko to, co jest w dawnych ustawach z miłością i poznaniem przyrody sprzeczne.

Ze zdrowych źródeł naszej literatury myśliwskiej zaczyna się odrodzenie naszego łowiectwa. Katechizmem dla niego będą słowa *Weyssenhoffa:*

„Właściwe, szlachetne łowiectwo zasadza się na wniknięciu człowieka wgłąb przyrody, która dzika jest tylko ze stanowiska kultury ludzkiej, lecz mądrzejsza od wszelkich dzieł ludzkich. Do jej przeczystych źródeł dochodzi ten, kto tropi i podpatruje zwierza, kto z nim współzawodniczy w chytrości ruchów i instynktów, kto się upodobni do stanu dzikiego istnienia, a korzysta przytem z wyrobionych przez wieki wyższości kulturalnych człowieka nad zwierzęciem, kto potrafi wzruszać się po zwierzęcemu i czuć po ludzku“.

Wyznaniem wiary całego naszego pokolenia staną się słowa Korsaka, iż „pięknym w myśliwstwie nie jest sam fakt morderstwa, lecz zwycięstwo myśli ludzkiej nad instynktami i chytrością zwierza, siła i wytrwałość naszych muskułów w przezwyciężaniu przeszkód i znoszeniu trudów, moc woli i ducha dająca człowiekowi panowanie nad światem... Bezmiar cudów otwiera się niby pełna skarbnica przed tymi, którzy zbliżają się do łona przyrody ze czcią, miłością i dobrą wolą. Kto miłuje przyrodę dla niej samej, posiądzie szczęście, którego mu nikt odebrać nie jest w stanie“.

Jakże daleko i jakże wysoko ponad pojęcia dawnych czasów wybiegają te uskrzydlone słowa!

Zacząć musimy od dzieła podstawowego, które znać powinien i przemyśleć każdy myśliwy, od *„Roku myśliwego“ Wł. Korsaka.*

Korsak roztacza przed nami obraz łowów każdego miesiąca w sposób barwny i wyczerpujący, ścisły a jednocześnie owiany poezją leśnych błot, „gdzie latem trzyma się niedźwiedź i łoś, a odyniec i ryś spędza dzień na małych suchych ostrowach“, gdzie „na wyspie porosłej sosną rozlega się na wiosnę czarowna pieśń króla puszczy — głuszca, a pod jesień słyszeć można chóralny śpiew wilczej gromadki“.

Zakończeniem książki, wieńczącem dzieło, jest rozdział o współczesnej etyce myśliwskiej, która w chaosie praw powojennych stanowi gwiazdę przewodnią dla zbłąkanych myśliwców.

Powieść *Korsaka „Na tropie przyrody“* jest wielkim hymnem pochwalnym na cześć dziewiczej puszczy i jej tworów. „Kochaj swe strony rodzinne“ woła myśliwy — poeta, „kochaj naszą dziką przyrodę, tę mistrzynię szczęścia ludzkiego, kochaj ją w upalnych tchnieniach lata i w lśniących barwami tęczy szronach zimowych, kochaj ją zarówno budzącą się na wiosnę, brzmiącą radośnie tętnem młodości, jak i smętnie zamierającą w cichych zmierzchach jesieni. Ale kochaj ją też i w złych jej chwilach, wówczas gdy nastaną smutne dni zapłakane, znaczące swój ponury pochód smętnym szelestem kropel deszczowych, lub gdy wyjące zawieje świat cały przesłonią tumanami śniegu, a zimowa wichura całemi nocami skarży się i szlocha w kominie“.

Korsak nietylko miłuje przyrodę, ale i malować umie ją mistrzowsko, czy to opisuje nam wiosenną noc, „bijącą pełnem tętnem życia, dygocącą od wewnętrznych dreszczów budzącej się przyrody“, czy też kreśli obraz „nocy świetlanej na jeziorze, gdy pieśń białoruska, stara jak ludzkość, płynie przez uśpione lasy i wody, przez zalane księżycowem światłem łąki i pola. Odczuwa zarówno poezję mszaru i puszcz, czar różanego świtu i liljowego zmierzchu, złotych południ upalnych i mroku nad Bobrowem jeziorkiem w głębi mateczników. I przesuwa niezrównany pisarz myśliwski przed naszemi oczyma dzieje dwóch chłopców w puszczy białoruskiej „nizane jak perły na sznur wolnego łowieckiego życia“.

Wydana w roku bieżącym powieść myśliwska *Korsaka „Ku indyjskiej rubieży“* przynosi ze sobą tchnienie gór, rześwy powiew trzcinowej dżungli i gorącą pieszczotę tajemniczej pustyni. Ale przemożna miłość ojczystej przyrody przepełnia i ten opis dalekiej podróży ku gorącym blaskiem śnieżnym grzbietom Hindukusza... „Strome szczyty rwały w śmiałych linjach ku górze, dochodząc niepraw-

dopodobnej wysokości. Olbrzymie góry świeciły jak rubiny, w ocienionych miejscach barwiły się czystym fjoletem, a w dole zakrytym już dla słońca siniały i stygły zwolna, jak wyjęte z kuźni żelazo. — I znów tajemna nić, ciągnąca mię ku tym górom, naprężyła wszystkie me myśli w daleką przestrzeń ku nieznanym a jakby swojskim stronom..

Wkoło mnie zmrok już panował, a surowy zapach północnego boru napełniał me nozdrza. Zamknąłem oczy i oto przez dziwne skojarzenie wrażeń poczułem się nagle przeniesiony hen daleko w ojczyste strony do rodzinnej białoruskiej puszczy. Zdało mi się, że siedzę w wiosenny wieczór gdzieś w głuchym borze na podsłuchach głuszcowych, zapachniał mi smolisty dym leśnego noclegu. Zatrzepotało się serce, a duszę przejęła ostra tęsknota za krajem, za drogim zakątkiem ziemi".

Ostatnia praca Włodzimierza Korsaka to „Przewodnik myśliwski" pt. „Venator", który w tych dniach wychodzi, jako pierwszy tom „Bibljoteki myśliwskiej" „Przegl. Myśliwskiego i Łowiectwa Polskiego". Zawiera on zbiór wiadomości niezbędnych dla każdego myśliwego i dlatego stanie się niewątpliwie najpopularniejszą książką myśliwską w Polsce.


Wł. Czerniejewski, autor znakomitych prac myśliwskich.

Z myśliwskich autorów dzieł podróżniczych wysuwają się w naszej literaturze powojennej na pierwsze miejsce: gen. Bron. Grąbczewski. Grąbczewski jeden z najznakomitszych uczonych w Europie, badacz i odkrywca nieznanych krain Azji środkowej, skarby nieprzebrane swoich wspomień drukował w „Przeglądzie Myśliwskim i Łowiectwie Polskiem" w r. 1923. Są tam opisy polowań na Jaki w pustyniach półn.-zachodniego Tybetu, łowy na tygrysy w Turkiestanie i na Amurze, studjum o dzikach w Azji Środkowej i o polowaniu na ptactwo.

Cenne wspomnienia wszechświatowej sławy uczonego i znakomitego myśliwego ukażą się w druku w najbliższej przyszłości ozdobione fotograficznemi zdjęciami autora.

W podróżniczej literaturze naszej myśliwskiej zostanie trwale dzieło *prof. Ossendowskiego „W zwierzęcej i ludzkiej kniei"*

Są tam wspomnienia łowieckiego żywota nad „szafirowo zielonym, groźnie pięknym Jenisejem" gdzie obok żórawi chińskich i indyjskich flamingów żyją czarne, posępne kormorany na martwym jeziorze. Są tam przeżycia z kwitnących stepów pełnych cudnej lecz śmiertelnej woni i z kniei Ussuryjskiej, królestwa tygrysów, oceanu zieloności — gdzie niedźwiedź i bars, tygrys i jeleń przebywają w raju myśliwskim dziewiczej tajgi.

Mówiąc o wspomnieniach myśliwskich nie sposób pominąć prace *Wł. Czerniejewskiego*, jednego z najznakomitszych pisarzy myśliwskich w Polsce, który cennym swoim piórem zasila „Przegląd Myśliwski i Łowiectwo Polskie", „Łowca" lwowskiego a dawniej i „Łowca Polskiego" w Warszawie. Czas, ażeby te niesłychanie ciekawe wspomnienia bujnego żywota łowieckiego ukazały się w wydaniu książkowem.

Wł. Janta Pałczyński jeden z twórców Polskiego Związku Myśliwych w Poznaniu wzbogacił literaturę łowiecką *„Estetyką łowiectwa"*. Połczyński pisze iż celem jego pracy jest „otworzyć oczy, które są zamknięte i nie widzą piękna przyrody w naszej ojczyźnie, otworzyć oczy i poruszyć sumienie tym wszystkim, którzy w niepohamowanej żądzy niszczenia nie pamiętają na boskie przykazanie: nie zabijaj!"

I słusznie pisze dalej Połczyński: „Natura jest jak lustro: odbija z serca ludzkiego to tylko, co w niem się przegląda; a kto w niem nic nie widzi, w tego duszy nie odbija się piękno. które daje nam łowiectwo".

Każdy myśliwy powinien przeczytać książkę *Janusza Domaniewskiego* pt. *„Zarys Geografji Zwierząt"* *) w której autor omawia zależność zwierząt od warunków otoczenia i rozmieszczenie ich na ziemi, oraz pracę *Włodzimierza Dzwonkowskiego pt. „Prahistorja ziem polskich"* **). Wiele tam znajduje się cennych materjałów do historji naszego zwierzostanu i do dziejów przedhistorycznego łowiectwa na ziemiach polskich.

Pierwszorzędne znaczenie w literaturze myśliwskiej Odrodzonej Polski odegrała *prasa myśliwska.* — Ona pierwsza rzucała nowe hasła i wywalczała im prawo obywatelstwa. Dawała głos pisarzom, którzy ze względu na trudności warunków wydawniczych nie mogliby wywrzeć inaczej wpływu na szerokie masy myśliwskie. *„Łowiec"* małopolski, *„Łowiectwo Polskie"* poznańskie i warszawski *„Przegląd Myśliwski"* połączony od pół roku z „Łowiectwem Polskim" odegrały chlubną rolę pod tym względem. Krzepiąc dusze w chwilach zwątpienia, piętnując bezprawia piętnące się na każdym kroku i budząc serca myśliwskie. Obecnie wskrzeszono i „Łowiec Polski" — pismo o wielkich zasługach.

W redagowanym przezemnie „Przegl. Myśl. i Łowiectwie Polskiem" w programowym artykule pisałem niedawno między innemi:

„Człowiek obcy niezrozumie nigdy myśliwskiego serca. Pozostanie ono dla niego wieczną zagadką. Nie zrozumie tego serca które ma w sobie słodycz dziecięcą, a czasami drapieżność dzikiego zwierza.

Ale człowiek obcy nie zrozumie również przyrody. Bowiem cała tajemnica myśliwskich serc polega na tem jedynie iż biją one w rytm otaczającego je dzikiego świata.

I dla tego mają w sobie łagodność błękitu, to znów dzikość bestji leśnej, majowego poranku wesele, to znów smutek zimowych wieczorów, gdy wycie wichru miesza się z wyciem zgłodniałych wilków.

I wielkie jest to serce myśliwskie, skoro zmieścić w sobie może świat cały— wszystkie jego smutki i radości, wiosny i zimy, cisze i huragany".

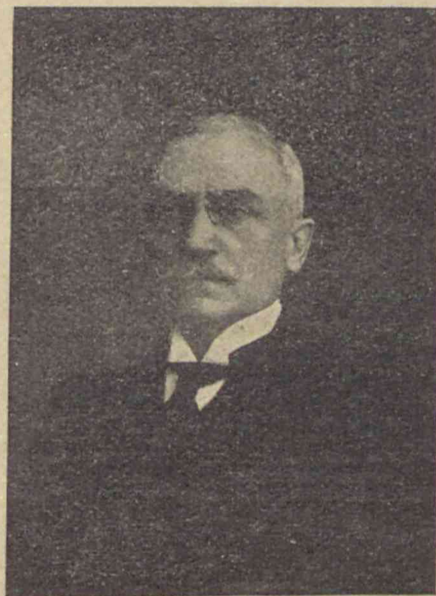
Do serc myśliwskich przemawiała przedewszystkiem literatura i prasa łowiecka. I przepełniła te serca bezmiernym ukochaniem cudnej naszej przyrody. I za pośrednictwem serc tych — wywrze niechybnie wpływ swój błogosławiony na przyszłe nasze prawodawstwo myśliwskie, które jak dojrzały owoc z pachnącego kwiatu, z literatury naszej kiedyś się narodzi.

Juljan Ejsmond.

*) Nakład Geb. i Wolffa. **) Nakład Wendego.

Przemysł broniowy po wojnie.

Wojna wywołała zastój w przemyśle broniowym; puszkarzy powołano do fabryk wojskowych, a Belgja, ten najwięcej uprzemysłowiony pod tym względem kraj—zajęta została przez niemców. „Fabrique Nationale d'armes de guèrre" w Liège, wyrabiająca browningi, nie chciała pracować dla niemców, została przez nich zamknięta, a maszyny wywiezione. Dwaj dyrektorzy belgowie przekradli się do Paryża, gdzie założyli fabrykę „Manufacture d'armes de Paris", która pracując dla armji sprzymierzonych, oddała im wielkie usługi.


P. Wł. Słonczyński, znany myśliwy i autor prac o broni myśliwskiej.

Fabrique Nationale, która nie zdążyła przed wojną wypuścić tak oczekiwanych przez sportsmenów karabinków i śrótówek automatycznych kal. 20, pracuje ze zdwojoną energją, zatrudniając 5,000 robotników; wyroby angielskie, amerykańskie i szwedzkie są dla swej waluty niedostępne; Niemcy zaś z powodu drożyzny nie odgrywają w dziale broniowym żadnej roli — stracili na razie najlepszych swoich klientów: Polskę i Rosję.

Wł. Słonczyński.



Zmiana na stanowisku ministra spraw wojskowych.



GEN. WŁADYSŁAW SIKORSKI, generalny inspektor piechoty, b. prezes ministrów, kawaler licznych orderów, zwycięski wódz w wojnie z bolszewikami, został mianowany ministrem spraw wojskowych.

WIELKIE I MAŁE ŁOWY.

Mam wielu znajomych (i pewno nie tylko ja), którzy nie wąchali prochu, a przecież chodzą ozdobni w przeróżne Virtuti Militari, Krzyże Waleczności i dobrze im się dzieje.

Mam jeszcze więcej znajomych, którzy nigdy nie mieli do czynienia z bronią, a przecież uchodzą za doskonałych myśliwych...

Dziwnie, doprawdy, że sport ten, tak bardzo obywatelski, który życie na wsi umila, na gruncie miejskim jeszcze większe zastosowanie znajduje. Poprostu, w mowie potocznej co chwila zahacza się o ludzi, co strzelają, choć Pan Bóg kule im nosi. Jedni strzelają byki. Inni znowu (którzy nigdy nie mieli w ręku dubeltówki), dają sobie buzi z dubeltówki. Jeszcze inni polują na cnotę niewieścią, lub są łowcami posagowymi.

Walka płci, oświetlaną tak pogodnie przez Weiningera i tak żałośnie komentowana przez nasze scenarjusze kinematograficzne, nie jest niczem innem, jak nieustającem polowaniem, które jednak tem się różni, że raz polują mężczyźni, a raz kobiety.

Metody tego polowania nie bardzo odbiegają od zwykłych metod myśliwskich.

Panie się osacza, na panów idzie się z naganką.

Panowie chcą upolować białe kruki, a panie „grubszego zwierza".

W puszczy poluje mężczyzna z panną na sobole. W salonie na pannę w sobolach.

W puszczy i salonie poluje kobieta najchętniej na głuszca (głuszec jest także „grubsze zwierzę").

Ale kto lepiej poluje?

Najlepszymi myśliwymi, według historji, byli Don Juan, Casanova, podobno kilku Ludwików, Napoleon, książę Józef, Junosza Stępowski na scenie, i pewien krytyk za kulisami.

Wielkie łowczynie nie przeszły do historji, lecz stale powiększają szeregi nieznanych myśliwych. A metody polowania kobiet są często zadziwiające swoją oryginalnością.

Naprzykład strzelanie oczami... Jest tylko pobudką, której pobudki bywają rozmaite. Ulubioną bronią jest bezbronność. Celują w niecelowaniu.

Kobiety nie uznają żadnych ograniczeń. Wolno im polować i na wiosnę, i na jesień, i zimą, i latem. Zaznaczyć wypada, że każda pora roku, a także dnia bywa dokładnie wykorzystywaną przez nemrodki.

Wolno też kobietom polować na wszelką zwierzynę. To też częściej, niż na dzika, zająca, cietrzewia, polują na osła, niebieskiego ptaszka (żeby było poetyczniej, mówi się o „niebieskim ptaku" Maeterlincka), wielbłąda, wołu. Przytem dodać należy, że kobieta poluje tylko na dwa rodzaje zwierząt: domowe, które należą do wielkiej rodziny *mężów*, i pozadomowe. Wyliczanie zwierząt domowych uważam za zbędne.

I w polowaniu, jak w innych dziedzinach życia, kobieta posługuje się więcej intuicją, niż — doświadczeniem. Niestety, dosyć często intuicja myli się i kobieta spogląda na świat oczami zaczarowanej Tytanji. Czasem opowiada, że upolowała „wspaniałego orła", gdy wszyscy widzą, że był to kogut, wcale nie rasowy. Czasem zapewnia, że wytropiła wilka, a tymczasem był to zając, który uciekł, bo mu nie nasypała soli na ogon... Na tem tle powstają różne spory pań-myśliwych, spory nierozstrzygnięte.

— To jest niedźwiedź — mówi jedna.
— To jest wróbel — mówi druga.
— To jest królik — mówi trzecia.
— To jest tygrys — mówi czwarta.
— To jest wydra — mówi piąta.
— To jest wieloryb — mówi szósta.

I wszystkie mają napewno rację.

Dziwną także właściwość ma zwierzyna upolowana przez kobiety. Czy to będzie zając, dzik, tygrys, ptaszek, niedźwiedź, malarz, słoń, głuszec, każde zwierzę zmienia się w rogacza. Wyjątku nie stanowi nawet wilk, który nie chce się zmienić w jagnię.

Wszelako myśliwe mają ten dziwny takt, że mieszkań swych nie przyozdabiają rogami (najwyżej jedną parą rogów).

Kobietom wolno polować nietylko u siebie, ale i na cudzym terenie.

Mężczyznom prawo to także przysługuje.

Kiedy kobieta wybiera się na łowy, to przeważnie z góry oznaczyć może, z jakiemi trofeami powróci. Wprawdzie czasem upoluje innego zwierza, niż ten, którego sobie upatrzyła. Wprawdzie czasem zamiast jednego zastrzeli kilka — ale to nie odgrywa żadnej roli. Nie zdarzy się nigdy, by polując na jarząbki, trafiła kulą w... płot.

Polowanie kobiety nie jest tylko sportem, rozrywką, zabawą, ale najprawdziwszym i najlepszym zawodem, traktowanym poważnie, celowo, skutecznie. To też rezultaty są budujące.

Nie można, niestety, powiedzieć tego samego o mężczyznach, którzy z polowania robią „sztukę dla sztuki". Spotyka ich słuszna kara, gdyż giną od tego, czem wojowali.

Aforyzm pewnego słynnego członka klubu myśliwskiego „życie jest bezustannem polowaniem" uchodzi za bardzo trafny, nawet w innych klubach.

H. Jel.

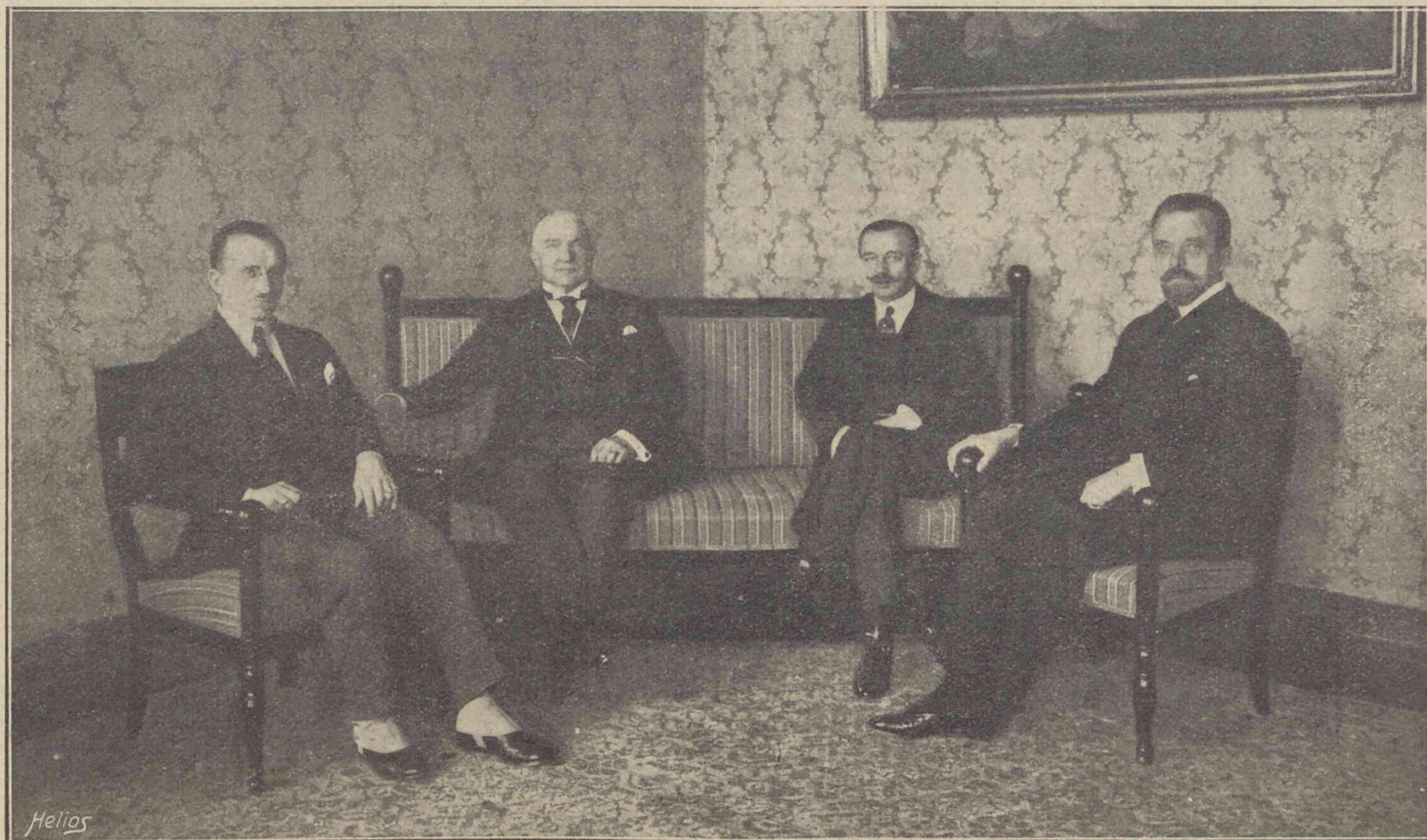
Jubileusz śpiewaka operowego.



W. GRĄBCZEWSKI, znany i ceniony baryton, b. reżyser opery warszawskiej obchodzić będzie jubileusz 35-lecia swojej pracy artystycznej. Odtworzy jedną z lepszych ról swojego repertuaru: Torreadora w „Carmenie".

Konferencja państw bałtyckich w Warszawie d. 16 i 17 lutego r. b.

Wynik dał koncepcję arbitrażu politycznego i gospodarczego między zainteresowanemi państwami. Fot. S. Wolski.



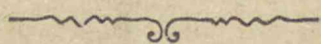
Min. spr. zagr. łotewski Seja, min. spr. zagr. eston. Dr. Ackel, min. spr. zagr. polski M. Zamoyski i min. spr. zagr. findl. Enckell.

1) Szumlański, 2) Stef. Natanson nacz. wydz. pras., 3) prof. Makowski, 4) Strasburger, 5) Potulicki, Andrycz, Stef. hr. Przeździecki, Romer sekr. gen. konfer., 9) M. Zamoyski przewodnicz. konfer., Filipowicz, 11) Bertoni, Czudowski, Jarocki, Ładoś poseł R. P. w Rydze, Skrzyński, Tagler, Dobrzyński, 18) Baron Yrio-Koskine z Helsingforsu, Ehrström E., poseł findl. w Warszawie, 20) Enckell, min. spr. zagr. findl. 21) Dr. Ackel, min. spr. zagr. eston., Schmidt, Leppik, 24) Seja, min. spr. zagr. łotew., Schumanns, 26) Ballodis z Rygi.

DOBRZE ZASŁUŻONY JUBILEUSZ

50-LECIA ISTNIENIA WARSZAWSKIEJ FABRYKI ŚRUB I DRUTU

J. WOLANOWSKI SP. AKC.





P. M. Wolanowski, założyciel.

Półwiekowy jubileusz istnienia święci w roku bieżącym jeden z większych krajowych metalurgicznych zakładów przemysłowych, Warszawska Fabryka śrub i drutu, J. Wolanowski, Spółka Akcyjna. Historja jego wiąże się ściśle z rozwojem naszego krajowego przemysłu, wiąże się również z rodziną pp. Wolanowskich, pod kierownictwem których, przechodząc z ojca na syna, fabryka pozostawała od pierwszych chwil swego zaczątku po dzień dzisiejszy.

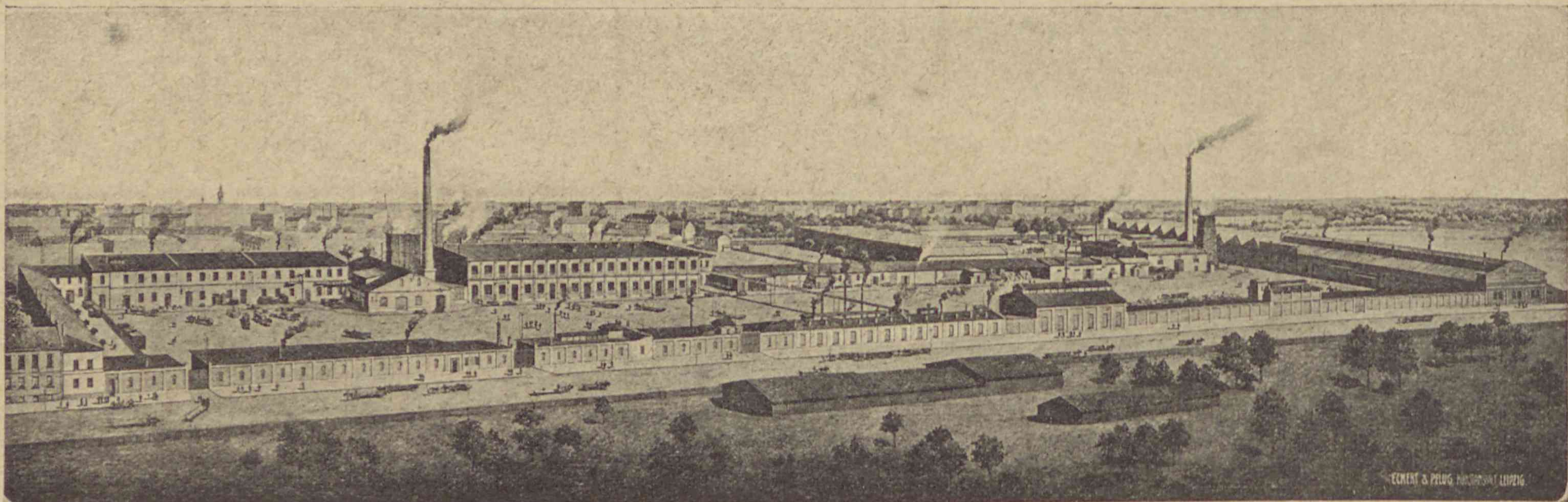
Założycielem fabryki był M. Wolanowski, *relf-made man* najlepszego typu, obdarzony żelazną wytrwałością i energją oraz wielką zdolnością inicjatywy. Urodził się w ziemi Radomskiej, w tej kolebce przemysłu metalurgicznego polskiego, gdzie ojciec jego, także jeden z pionerów polskiego przemysłu, założył i prowadził w pierwszej połowie ubiegłego stulecia jedną z pierwszych fabryk okuć budowlanych. Przedsiębiorstwo zawiodło oczekiwania, jak to często zdarzało się w owych czasach inercji przemysłowej i słabego zaineresowania. Po śmierci ojca M. Wolanowski przywędrował jako młody chłopiec do Warszawy. Odtąd rozpoczyna się jego karjera, iście w amerykańskim stylu, niestety hamowana ustawicznie ogólnemi trudnościami życia społecznego i ekonomicznego, które przez długie lata przemożnie ciążyły nad Polską.

Po przybyciu do Warszawy młody M. Wolanowski, pozbawiony wszelkich zasobów materjalnych, znalazł na początek zajęcie u jednego z kupców branży żelaznej, dawnego odbiorcy fabryki ojca. Ale nawet stanowisko kierownika cudzego przedsiębiorstwa nie zaspakajało jego ambicji i dążeń twórczych. To też już w r. 1858, opierając się na niewielkich uciułanych oszczędnościach, rozpoczyna samodzielną pracę zakłada własny sklep wyrobów żelaznych w centrum tego handlu w Warszawie, na placu Grzybowskim.



P. J. Wolanowski, prezes zarządu i dyrektor fabryki.

Ogarniając bystro przedsiębiorczym umysłem sytuację handlu żelaznego w Polsce, zrozumiał rychło konieczność stworzenia tej gałęzi przemysłu w kraju, celem uzależnie-



Ogólny widok fabryki śrub i drutu J. Wolanowski Sp. Ak.



Dyrektor Zarządzający Jerzy Wolanowski z synem Członkiem Zarządu Inż. Stanisławem Wolanowskim.



Członek Zarządu i Dyr. Tech. Inż. Michał Korwin Szymanowski.

nia się od zagranicy. Bowiom rodzima wytwórczość była bardzo nikła, a chociaż w Rosji otwierał się zyskowny targ, wszelkie korzyści zagarniała Anglja a głównie Niemcy, zalewając cały targ swoim importem.

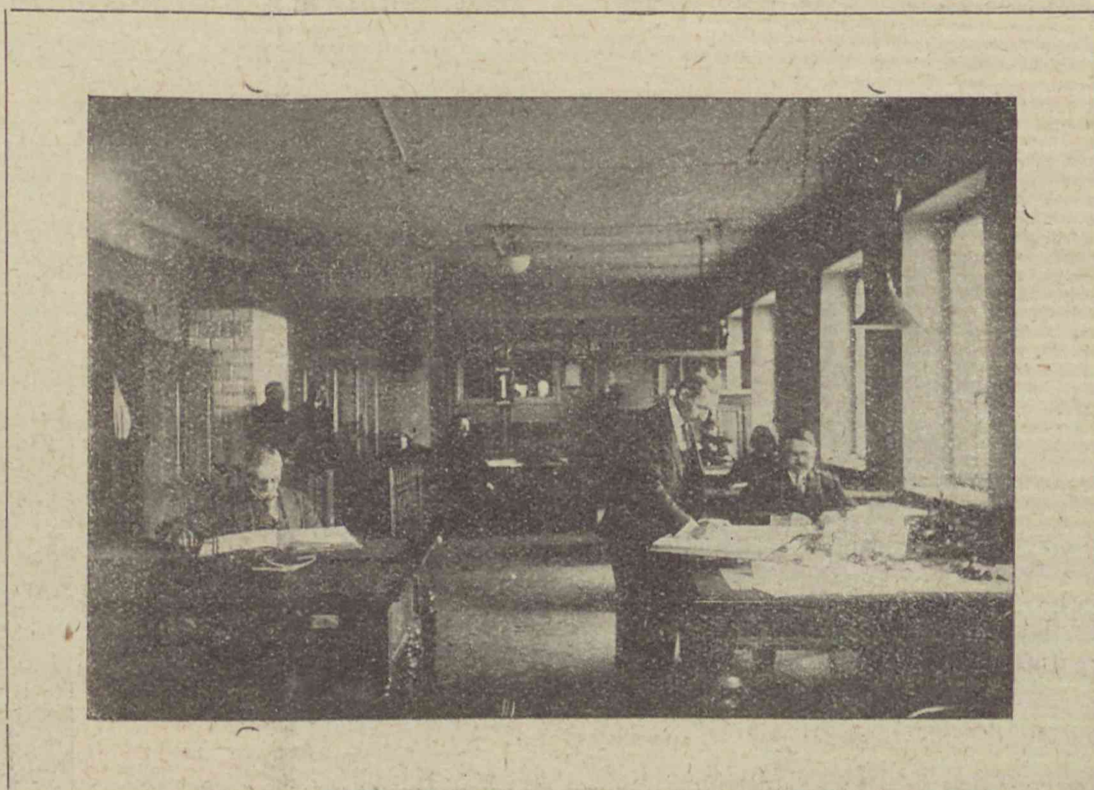
Warunki polityczne były jednak pod każdym względem niepomyślne, rok 1863 sprowadził na kraj falę represji, utrudniając każdą pracę. Nie tracąc jednak z oczu wytyczonego celu, przygotowywując się do zrealizowania go, M. Wolanowski udaje się w r. 1865 do Westfalji, aby w tym przemysłowem ognisku Europy środkowej zapoznać się szczegółowo i gruntownie z hutnictwem oraz ze związanemi z niem przemysłami przetwórczymi. Powrócił do kraju z gotowymi projektami, lecz realizacja ich okazała się jeszcze niemożliwa. Represje trwały dalej, przedsiębiorczość zanlkła, kapitał obawiał się lokaty w przemyśle, a w dodatku warunki handlu, zwłaszcza bardzo niskie stawki cłowe, uniemożliwiały wprost konkurencję z zagranicą.

Dopiero około r. 1870 sytuacja uległa zmianie na lepsze, zwłaszcza gdy rząd rosyjski wzorując się na ekonomicznej polityce Zachodu, zapoczątkował system ceł protekcyjnych. M. Wolanowski wykorzystał niezwłocznie tą poprawę sytucji, przystąpił do zrealizowania dawno obmyślonych planów i w r. 1874 otworzył fabrykę w dawnej ludwisarni przy ulicy Gęsiej № 16. Narazie ograniczył się do druciarni i gwoździarni, oraz fabrykacji tektury dachowej. Podstawę bytu materjalnego opierał na sklepie przy Placy Grzybowskim, który istniał w dalszym ciągu i miał ustaloną renomę.

Początki działalności fabryki były trudne. Przedewszystkiem brakowało w kraju surowca do wyrobu drutu. Trzeba było go sprowadzać z zagranicy , głównie z Nadrenji, a hutnicy tamtejsi piętrzyli wszystkie możliwe przeszkody, bowiem dla przemysłu niemieckiego korzystniej było przywozić gotowy produkt, aniżeli umożliwiać produkowanie go w Polsce. Napotykane na drodze trudności raczej podniecały Wolanowskiego do tem wytrwalszej pracy, niż zrażały. I energja jego została uwieńczona zwycięstwem. Przyczyniła się do tego również zmiana stosunków gospodarczych, kształtująca się coraz korzystniej dla rozwoju krajowego przemysłu.

Wprowadzone w r. 1877 cła w złocie wydatnie poparły polski przemysł, zwłaszcza metalurgiczny. Przemysłowcy górnośląscy, pragnąc przeciwdziałać cłom ochronnym rosyjskim zbudowali w Sosnowcu pierwszą walcownię żelaza i drutu, powołali do życia huty Puszkin, obecnie Staszica. Jednocześnie prawie przemysłowcy francuscy nabyli od rządu Hutę Bankową i znacznym nakładem kapitału postawili jej produkcję na wysokim poziomie. Krajowy przemysł zdobył na miejscu potrzebny mu surowiec, główna trudność była usunięta.

Wykorzystując te sprzyjające warunki, M. Wolanowski przeniósł fa-



Biuro Handlowe. Fot. J.Różewicza.



Ogólny widok fabryki z inżynierem p. Piotrem Matejko.

Fot. J. Różewicza.



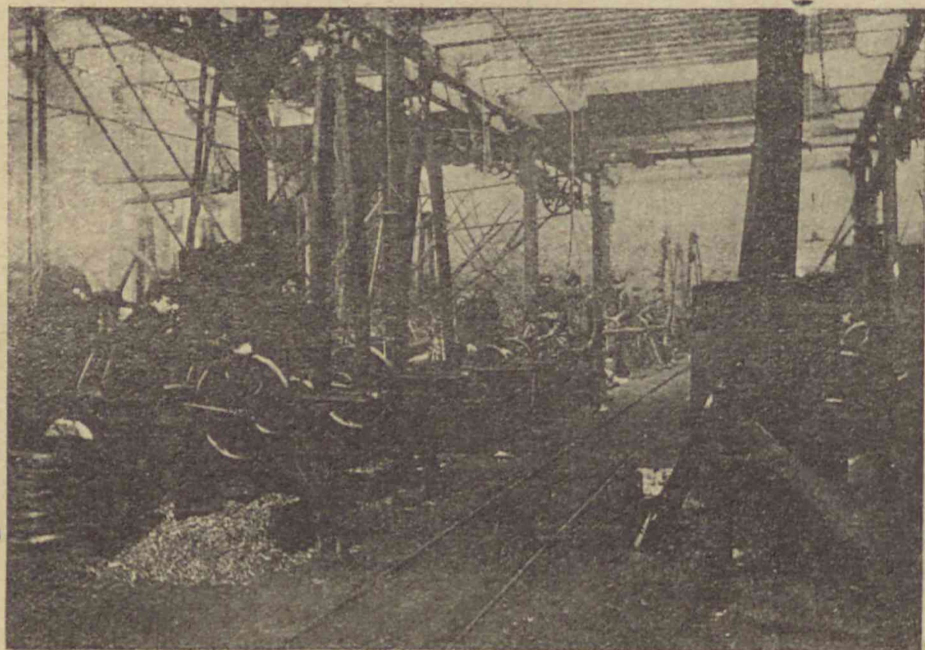
Inżynierowie i majstrowie fabryki: x Oswald Perliczni 50 lat bez przerwy.

brykę na nowy teren przy ulicy Gęsiej № 81 i rozszerzył jej produkcję, wprowadzając fabrykację innych artykułów żelaznych, jak przybory dla użytku kolei żelaznych, telegrafów i telefonów, fabrykacji łańcuchów, śrub, mutrów i t. d.

W tym okresie występuje na widownię, jako energiczny syn jego współpracownik, obecny kierownik fabryki, Jerzy Wołanowski. Ten od wczesnej młodości przygotowywał się już do zastąpienia ojca przy stworzonym przez niego warszacie pracy, zaznajamniał się ze skomplikowanemi warunkami technicznemi i handlowemi działalności fabryki, stał na równi z innemi robotnikami przy warsztacie, chcąc zdobyć nietylko teorotyczną ale i praktyczną wiedzę swego fachu. Dzięki temu, chociaż zaraz na wstępie współkierownictwa zakładu zaskoczyło go przesilenie, wywołane nadprodukcją w krajowym przemyśle, potrafił opanować sytuację, wynaleźć nowe źródła zbytu i zdobyć targi rosyjskie mimo stawianych przez konkurencję przeszkód. Niebawem też zakłady M. Wolanowskiego stały się głównymi dostawcami dla zarządów rosyjskich dróg żelaznych oraz dla ministerstwa poczt i telegrafów. Byt fabryki został jeszcze raz mocno ugruntowany.

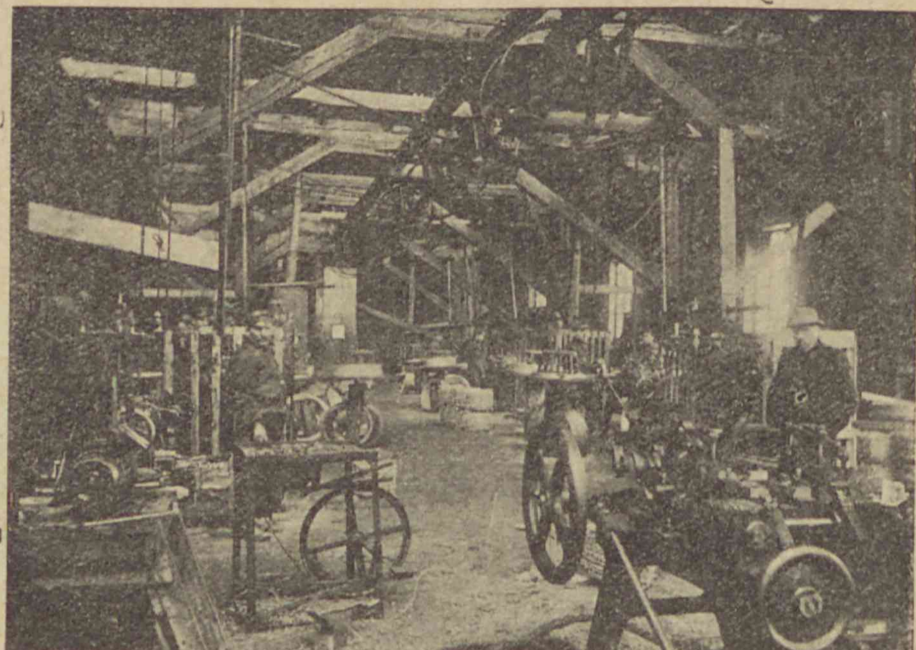
Rozszerzona działalność na użytek państwowy i prywatnej klijenteli spowodowały właścicieli do budowy nowych gmachów fabrycznych, z instalacjami dostosowanemi do ostatnich wymogów techniki, na specjalnie nabytym terenie obszaru 70,000 łokci przy ulicy Glinianej № 5, gdzie fabryka mieści się po dzień dzisiejszy. Reputacja zakładów była tak dobra, że już w r. 1898 grupa belgijskich przemysłowców i banków zaproponowała przekształcenie ich na Spółkę akcyjną co istotnie w rok później doszło do skutku. Kapitał akcyjny ustalono na $5^1/_2$ miljona franków w złocie; działalność przedsiębiorstwa rozwinięto przez wybudowanie nowej śrubiarni i powiększenie działu akcesorji kolejowych i i telegraficznych. Przemiana na belgijską Spółkę akcyjną zbiegła się niemal ze śmiercią założyciela fabryki, M. Wolanowskiego, który zmarł w pełni sił, w r. 1900 wskutek nieszczęśliwego wypadku kolejowego.

Zmiana kierownictwa, które objął cudzoziemiec, nie fachowiec, nie znający miejscowych stosunków przemysłowych i handlowych, zachwiała poważnie bytem fabryki. Kastastrofie zapobiegli miejscowi akcjonarjusze, oddając ponownie ster zarządu w ręce p. Jerzego Wolanowskiego, który, pomimo bardzo ciężkich warunków chwili, wywołanych i wojną japońską i kryzysem nadprodukcji, potrafił wyjść zwycięzko ze złej ko-



Część oddziału gwoździarskiego.

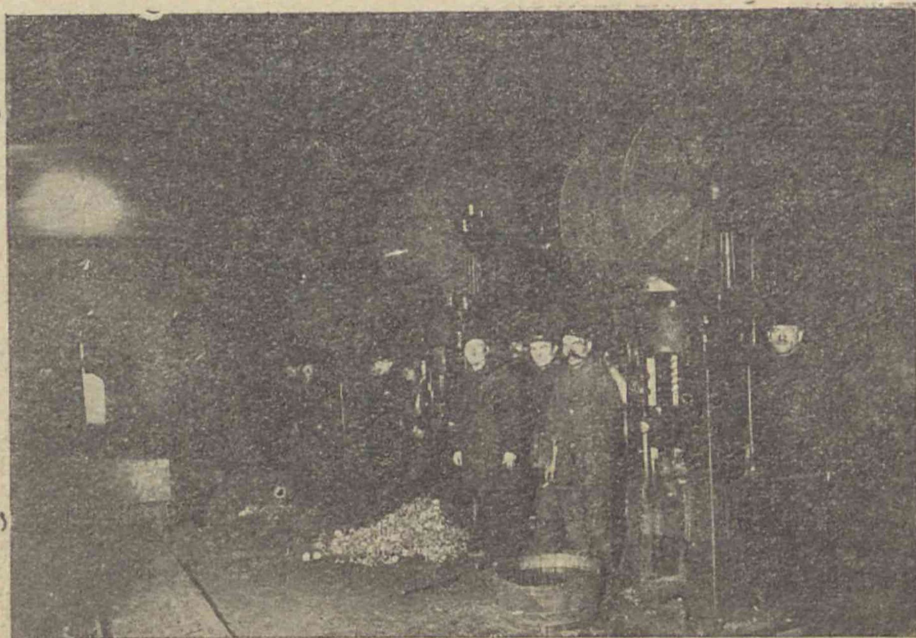
Fot. J. Różewicza.



Część oddziału drutów kolczastych.



Część oddziału druciarni. Ciągarki grubych drutów.



Część oddziału śrubiarni. Prasownia śrub i nitów.

njuktury. Od r. 1910 poprawa zarysowała się coraz pomyślniej, dzięki temu, że zakłady, Spółki Akcyjnej uzyskały pokaźne, choć nie bardzo zyskowne zamówienia rządowe na potrzeby armji i gospodarki wewnętrznej. Rozpoczęła się w fabryce intensywna praca na dwie zmiany, działalność spotęgowała się jeszcze z chwilą wybuchu wojny.

Wojna wyrządziła przedsiębiorstwu, podobnie jak całemu polskiemu przemysłowi, znaczne szkody. Rosjanie nie zdołali wprawdzie dokonać zamierzonej ewakuacji całej fabryki, wywieźli jednak pewną część maszyn, uniemożliwiając bieg niektórych działów fabrykacji. Niemcy, gdy zarząd fabryki odmówił kategorycznie pracy na ich potrzeby, zarekwirowali znaczną liczbę pozostałych maszyn. Po ustąpieniu wroga dyrekcja zakrzątnęła się około odbudowy fabryki; zdołano ją uruchomić w drugiej połowie 1919 r. Stopniowo uzupełniono przedwojenne instalacje, bądź sprowadzając niektóre maszyny z zagranicy, bądź wytwarzając je w własnych warsztatach mechanicznych.

W r. 1921 belgijskie Towarzystwo zostało przekształcone na Polską Spółkę Akcyjną wobec tego że większość akcji przeszła w polskie ręce. Akcjonarjusze belgijscy posiadają swą reprezentację w organach Spółki. Dążąc do ciągłego rozwoju przedsiębiorstwo zastąpiło nowe maszyny elektrycznymi motorami i dożyło zelektryfikowania wszystkich działów fabrykacji.

Od początku istnienia właściciele dążyli zawsze do tego, by fabryka była nawskroś polskiem przedsiębiorstwem. Dlatego posiłkowano się wyłącznie polskiemi inżynierami, majstrami i pracownikami, których fabryka zatrudniała normalnie 300. Liczba ta od r. 1923, odkąd fabryka pracuje znowu na dwie zmiany dosiągnęła 400 pracowników. Wielu z nich pozostaje na stanowisku już od dziesiątków lat, często w drugim i trzecim pokoleniu, co najlepiej charakteryzuje dobry i życzliwy stosunek wzajemny.

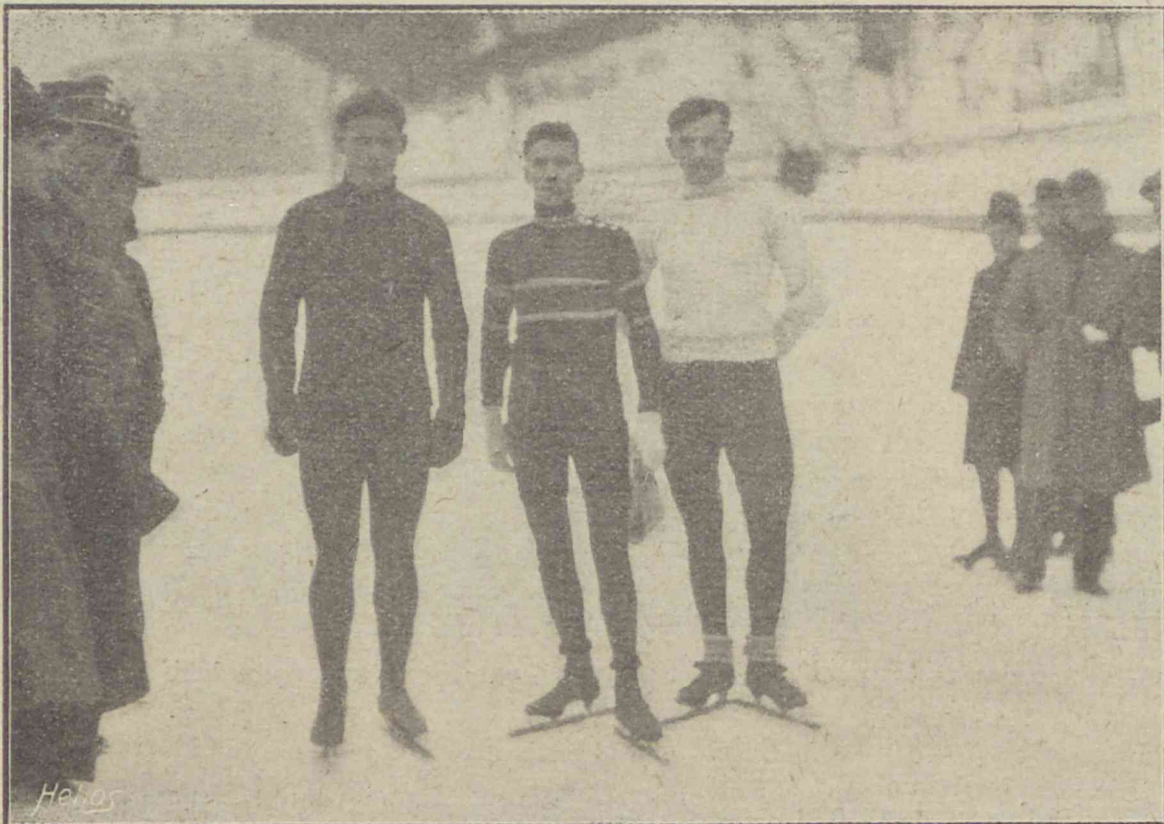
Dzisiaj zakłady Spółki Akcyjnej Wolanowskiego stoją na przodującem miejscu w swych specjalnościach. Wyrabiają one wszelkie gatunki drutu, a specjalnie drut kolczasty i drut dla telegrafów i telefonów, dalej wszelkiego gatunku gwoździe druciane od najdrobniejszych do najdłuższych, siatki do ogrodzeń. liny druciane, łańcuchy wszelkich gatunków do celów gospodarczych, przemysłowych i marynarki, gwoździe cięte z blachy dla tapicerów, śruby, nakrętki, nity wszelkich gatunków, akcesorja kolejowe, gwoździe do podków (hufnale), wreszcie papę smołowcową. — W najbliższej przyszłości ma być utworzony nowy dział, który produkować będzie łańcuchy, elektrycznie spawane; maszynowe urządzenia do tego celu są na ukończeniu.

Zapisana chlubnie w dziejach rodzimego przemysłu, stale dążące do technicznego rozwoju zakłady Warszawskiej Fabryki Śrub i Drutu, J. Wolanowski, Sp. Akc. cieszą się i dzisiaj należytem uznaniem zarówno ze strony władz państwowych, jak wielkich przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych, które zaliczają się do stałych ich odbiorców.

Obecny skład zarządu Spółki jest następujący: Jerzy Wolanowski, prezes zarządu i dyrektor fabryki, Adolf Peretz, viceprezes Zarządu, inż. Michał Szymanowski, dyrektor techniczny i członek zarządu, inż. Stanisław Wolanowski członek zarządu, Adolf Bielski, członek zarządu b. przedstawiciel Tow. w Petersburgu, Ferdynand Baetens, członek zarządu przedstawiciel belgijskich akcjonarjuszów i P. Matejko vice dyrektor techniczny.

Z tym zarądem, fachowym i energicznym, na czele wchodzi fabryka w drugie półwiecze swego istnienia. Pozwala to żywić nadzieję, że praca jej będzie równie wydatna i pożyteczna dla kraju, jak była od samych zaczątków istnienia. *M.*

Zawody łyżwiarskie o Mistrzostwo Polski.



Od lewej do prawej: L. Jucewicz (II nagroda), L. Kamiński (III nagroda), Wacław Kuchar, zwycięzca Mistrzostwa. Fot. Wacław Rokosz.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY PARLAMENTARNE.

Sześć wielkich ustaw samorządowych zaczął rozpatrywać Sejm. Z ostrą krytyką zaraz na wstępie spotkał się system pluralny ordynacji wyborczej i podporządkowanie samorządu administracji państwowej.

Dyskusja nad ochroną lokatorów nie wyszła jeszcze z ram ogólnych. Jeżeli dalej pójdzie w tem tempie, właściciele długo jeszcze czekać będą na poprawę swych dochodów.

Dobra kościelne zwolniono od podatku majątkowego aż do rozstrzygnięcia sprawy konkordatu. Lewica wskazuje, że zwalniany obszar wynosi około pół miljona morgów.

Konwencję o zwalczaniu handlu kobietami i dziećmi ratyfikował Senat. Akcją kieruje specjalna Komisja Ligi Narodów.

Obraz sytuacji zagranicznej przedstawił p. Zamoyski w exposé na posiedzeniu Sejmowej Komisji. Lewica atakowała ogólnikowość, prawica wzięła ministra w obronę.

Nieodłącznym cieniem „Piasta" staje się „Wyzwolenie". Zaledwie pos. Witos pomyślał o agitacyjnej podróży do Ameryki, pos. Bryl postarał się także o paszport.

RZĄD POLSKI.

Państwowa Rada oszczędności zabrała się do pracy w trzech komisjach: reformy administracji, uzdrowienia stosunków w przedsiębiorstwach i bankach państwowych, oszczędności w samorządach.

Niezwłoczną pomoc dla bezrobotnych obmyśla rząd, głównie w formie robót publicznych. Byleby nie przesypywano piasku z jednej kupy na drugą, jak to, niestety, bywało.

Zakaz należenia oficerów do tajnych związków ogłosił minister wojny. Dość już zakulisowych, partyjnych, a niezawsze zbyt czystych interesów.

SPRAWY POLSKIE.

Komisja Ligi Narodów bada sprawę Kłajpedy. Nie czuje się powołana do poruszenia sprawy wileńskiej, czego się domagają litwini.

Imperjalistyczną politykę zarzucił Polsce Galvanauskas i dowodził, że polskie pretensje do uprzywilejowania w Kłajpedzie za bezpodstawne. Tylko zwrot Wilna uważałby za drogę do normalnych stosunków. Polska inaczej na to patrzy.

POLITYKA ZAGRANICZNA.

Program Mac Donalda obejmuje uregulowanie rosyjskich długów przedwojennych, szczerą współpracę z Francją i innemi narodami nad unormowaniem stosunków w Europie, porozumienie co do zmniejszenia zbrojeń i podniesienie autorytetu Ligi Narodów.

Generalny strajk portowy w Anglji grozi głodem krajowi i zahamowaniem życia przemysłowego.

Narady francusko-niemieckie toczą się nad problemem okupowanych obszarów i zmianą obecnej linji polityki reparacyjnej. Anglja i Ameryka wpływają pośredniczącо.

W krwawej rzezi separatystów nadreńskich zginęło kilkanaście osób. Komisje śledcze pracują energicznie, a rząd niemiecki usiłuje przeciwdziałać dalszym okrucieństwom.

RÓŻNE.

W sprawie pomocy dla polskiej literatury odbyło się w Redakcji „Świata" zebranie wybitnych pisarzy. Omawiano projekt opodatkowania dzieł zmarłych autorów na korzyść żyjących.

W zawodach narciarskich w Krynicy zdobył mistrzostwo Polski p. Henryk Mückenbrun.



UCZTA PLATONA.

„Uczta“ Platona jest nieśmiertelnem dziełem, czytanem przez wszystkie pokolenia z równą satysfakcją artystyczną i wielkim podziwem dla kunsztu djalektycznego starożytnej Grecji. Podziw ten tem jest większy, gdy zważy się, iż środowisko odtworzone przez Platona żyło 23 wieki wstecz. Wysoki poziom intellektualny bohaterów „Uczty“ jest niewspółmierny z psychologją bawiących się obecnie ludzi: używanie życia jest dziś jakąś chamską, ordynarną, niszczycielską swawolą. Może tylko uczty Medycejskie były równie świetne; o polskim kunszcie ucztowania daje pojęcie niejakie tylko najmiłościwszy pan Stanisław August przez swoje obiady czwartkowe.

Najwyższe problemy i pytania, dręczące i bawiące umysł ludzki, podczas uczt takich splatają się w wieniec przyjemności wraz ze smakowitem, dostojnem winem, soczystym owocem i zawiesistym cąbrem. W starej Grecji i przy skromniej zastawionym stole umiano pięknie ucztować. Ta strona djalogu powinna zainteresować tak zwane szersze koła czytelników. Smakosze literaccy znajdą w nim kunszt przekładu prof. Władysława Witwickiego doprowadzony do artyzmu. Jego polskie słowo posiada w sobie ekwiwalent greckiego oryginału. Chwilami jest nawet zbyt barwne, zbyt soczyste: grecki tekst operuje bardziej pojęciowemi wykładnikami myśli.

Wstęp, objaśnienia i zakończenie, będące rozbiorem djalogu, pouczą nawet prostaka o wartości ideologicznej, artystycznej i obyczajowej Platońskiej „Uczty“. Bardzo oryginalne charakterystyki działających postaci daje prof. Wł. Witwicki. Dotyczy to w pierwszym rzędzie postaci tak znanej, jak Sokrates. O mędrcu tym istnieje tyle sprzecznych opinji. Prof. Witwicki dał wersję psychologiczną ciekawą przez swoje ujęcie. Pisze on:

„Wielki prototyp dusz o podkładzie aktorskim, które chcąc się wyzwolić z jakiegoś poczucia poniżenia wewnętrznego, bo je na nich los rzucił lub konieczność, kłamią swej naturze ludzkiej: chcą się do pewnego ideału dociągnąć, zdobywają nieodzowne poczucie mocy w walce z sobą samym, tworzą siebie samych w wyobraźni i ten wytworzony ideał grają mniej lub więcej zręcznie przed sobą i przed światem“.

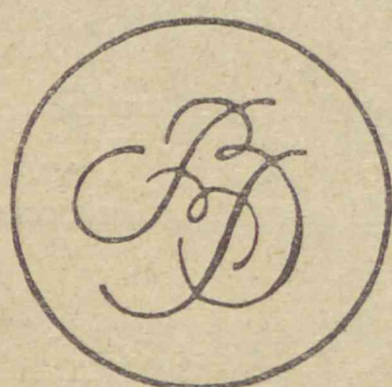
Charakterystyka ta jaźni Sokratesowej niezmiernie pomaga do zrozumienia jego pytań, refleksji, definicji i ataków w czasie prowadzenia dysputy w Uczcie. Dysputa ta chodzi nad przepaściami. Tylko dobry smak grecki, błyskotliwość djalektyki i moralna predyspozycja wywodów sprawiają, iż „Uczta“ wyrasta na typ dzieła, omawiającego problemy chwilami bardzo drażliwe w sposób niezwykle elegancki i ponętny.

Bez wstępu prof. W. Witwickiego wdzięk tego djalogu byłby mniej zrozumiały, gdyż nie wszyscy noszą w sobie możność historycznego ujmowania rzeczywistości. Prosta wiadomość o roli kobiety w społeczeństwie greckiem i w społeczeństwie naszem wyjaśnia wiele drażliwości w opinjach, sądach i dyskusji ucztujących bohaterów Platona.

„Ucztę“ Platona w przekładzie prof. W. Witwickiego wydała zasłużona „Książnica Polska“.

Bogusław Herse

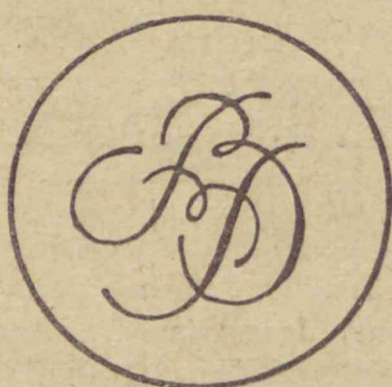
WYKWINTNE STROJE DAMSKIE



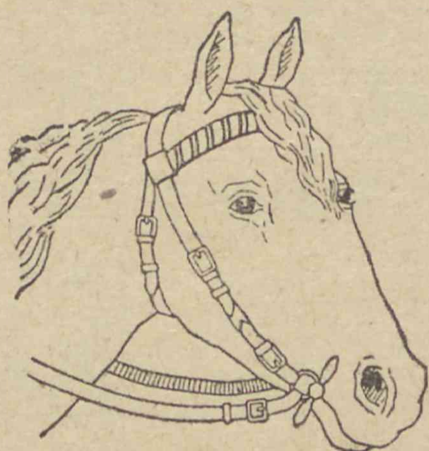
KOSTJUMY SPORTOWE

Bogusław Herse

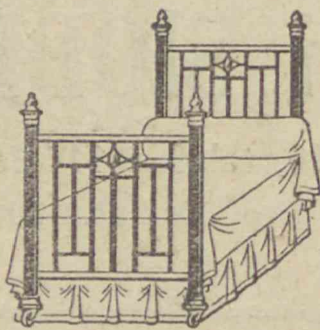
WYKWINTNE STROJE MĘSKIE



KOSTJUMY SPORTOWE







ŻYCZĄCYM DAJEMY NA RATY

Odp. Red-wydawca ST. KRZYWOSZEWSKI.

Druk Galewski i Dau, Warszawa.

CENY ZA OGŁOSZENIA W ZŁOTYCH POLSKICH:

STRONA	1/1	1/2	1/4	1/8	1/16
I OKŁADKA	120.—	60.—	30.—	15.—	9.—
II „	90.—	45.—	23.—	12.—	6.—
III „	90.—	45.—	25.—	12.—	6.—
IV „	120.—	60.—	30.—	15.—	9.—
W tekście	180.—	90.—	45.—	24.—	13.—
Przed romansem	135.—	68.—	35.—	18.—	12.—

STRONA OPISOWA: Złp. 180. —FOTOGR. I KLISZE na rach. KLIJENTA. Za wiersz wysok. 1 milimetra szerokości 1 szpalty; KRON. TOWARZ. I KOMUNIKATY za 1 m/m 30 groszy. PIERWSZA STRONA tekst za 1 m/m 40 groszy. Za terminowy druk ogłoszeń Admin. nie odpowiada. Rachunki płatne są w Mkp. podług kursu złotego polskiego dnia poprzedniego.

PRENUMERATĘ przyjmują:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Tel.: Ekspedycja 47-25, Administr. 504-00.
Konto czekowe P. K. O. № 3755.
Księgarnia Trzaska, Evert i Michalski Krak. Przedm. 13, (Hotel Europ.)
W Łodzi: Biuro dzien. ogł. „PROMIEŃ" Piotrkowska № 81.
księgarnia „Czytaj" Dzielna 2.

CENA PRENUMERATY za Luty: w Warszawie mies. Mk. 6.500.000 z odnoszeniem do domu 6.750.000 i na prowincji mies. 7.500.000 Zagranicą podwójnie. Numer pojedyńczy Mk. 1.800.000.

DRUK GALEWSKI I DAU WARSZAWA